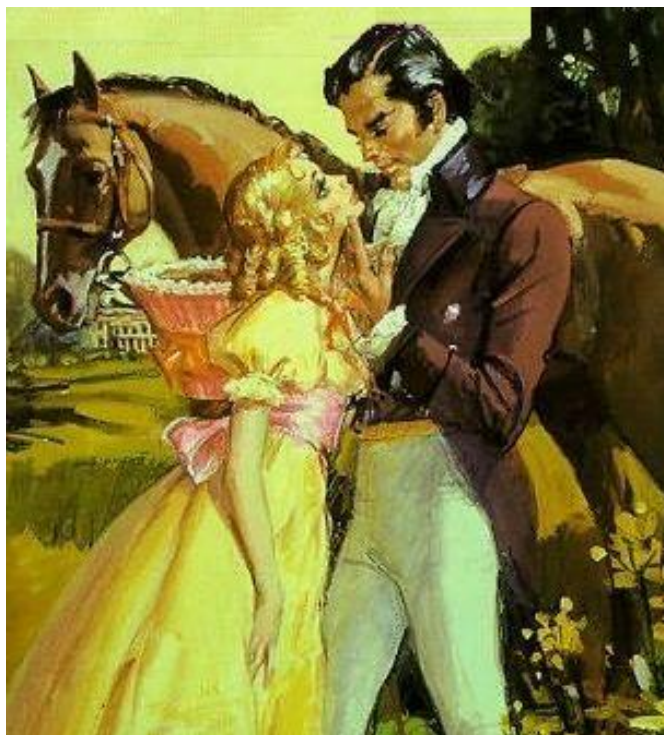




**Barbara Cartland**

**Czarowne zaklęcie**

**A Witch's Spell**



## Rozdział pierwszy

Rok 1817

Hermia wracała z farmy z koszem pełnym jaj, nucąc po drodze jakąś melodię. Wyobrażała sobie, że jest żoną wschodniego władcy albo córką poszukiwacza skarbów Azteków czy poławiacza pereł.

Znalazszy się na końcu ścieżki, wiodącej z farmy Honeysuckle, miała właśnie wejść na drogę prowadzącą do wsi, gdy usłyszała męski głos, nabrzmiały złością:

— Jasna cholera!

Zaciekawiona skierowała się w tamtą stronę, bo rzadko słyszała przekleństwa. Bogobojni mieszkańcy wioski nigdy nie podnosili głosu.

Przeszła kilka metrów i zobaczyła przed sobą pięknego, rasowego wierzchowca. Nie mogła oderwać od niego zachwyconego wzroku, dlatego nie od razu spostrzegła jeźdźca. Nieznajomy, odwrócony do Herma tyłem, podniósł nogę konia i uważnie oglądał kopyto.

W tych okolicach drogi były wyboiste i konie często gubiły podkowy, a Hermia podejrzewała, że miejscowy kowal nie dorównywał umiejętnościami swemu poprzednikowi.

Chociaż dziewczyna nie знаła ani konia, ani jego właściciela, zbliżyła się i zapytała:

— Czy mogłabym pomóc?

Pochylony nad końskim kopytem dżentelmen nawet nie podniósł głowy.

— Nie, chyba że masz coś, czym mógłbym oderwać tę podkowę! — burknął.

Był wyraźnie poirytowany, ale akcent, modny wśród londyńskich bufonów i arystokratycznych gości stryja Hermii — hrabiego Millbrooke, zdradzał jego pochodzenie.

Kiedy podeszła bliżej, zrozumiała, co było powodem złości nieznajomego. Obluzowana podkowa tkwiła na jednym gwoździu, którego on nie potrafił wyciągnąć. Jej bratu, Peterowi, dawniej często zdarzały się takie wypadki.

Bez słowa odstawiła kosz i rozejrzała się po wyboistej drodze. Po chwili podniosła duży, płaski kamień. Podeszła do mężczyzny, który ciągle mocował się z podkową, i powiedziała:

— Proszę pozwolić mi spróbować.

Nie podniósł głowy. Hermia pochyliła się, wsunęła płaski kamień pod podkowę i jednym zręcznym ruchem oderwała ją od kopyta,

Dżentelmen opuścił nogę zwierzęcia, podniósł z ziemi podkowę i wyprostował się.

— Jestem ci niewymownie wdzięczny. A teraz powiedz mi, z łaski swojej, gdzie tu znajdziesz kowala.

Mówiąc to, spojrzął na osobę, która tak fachowo udzieliła mu pomocy.

Kiedy Hermia pochylała się, by wsunąć kamień pod podkowę, kapelusz, chroniący jej głowę od słońca i zawiązany wstążkami pod brodą, opadł na plecy odsłaniając bujne, zalotnie rozrzucone włosy, iskrzące się w promieniach słonecznych złotym blaskiem. Miały równie żywą barwę co narcyzy na wiosnę, jaśmin wypuszczający pierwsze pędy po zimowych chłodach czy kukurydza, która dopiero co wzeszła na polach.

Każdy, kto ujrzał Hermie po raz pierwszy, przyglądał się najpierw jej włosom, jakby nie mógł uwierzyć, że są naturalne, że to nie farba nadała im tę barwę. Ich kolor podkreślał bladoróżowy odcień skóry i błękit oczu niebieskich jak alpejskie fiołki, a nie jak kolor letniego, angielskiego nieba. W oczach stojącego przed nią mężczyzny zapaliła się iskierka podziwu. Hermia również zaskoczona była jego wyglądem, ponieważ nigdy dotąd nie widziała człowieka tak podobnego do diabła. Nieznajomy miał ciemne włosy, ostre rysy twarzy, brwi niemal zrosnięte pośrodku czoła, a w spojrzeniu wyraz znudzenia i lekceważenia, jakby pogardzał wszystkim i wszystkimi.

Stali tak, mierząc się wzrokiem, aż mężczyzna powiedział sucho:

Chcesz, bym uwierzył, że opowieści o uroczych mleczarkach nie są przesadzone!

Wykrzywił usta w grymasie, który miał uchodzić za uśmiech, i dodał:

— W dodatku jesteście inteligentne!

Wyciągnął z kieszeni kamizelki jakiś przedmiot i wsunął go w dłoń Hermii, mówiąc:

— Odłóż sobie na posag. Spotkasz kiedyś krzepkiego młodego farmera, który uczyni cię szczęśliwą.

Gdy Hermia chciała spojrzeć na podarunek, on postąpił krok, ujął ją pod brodę i odwrócił jej twarz ku sobie. Zanim pojęła, co się dzieje, pochylił się nad nią, a jego usta spoczęły na jej wargach. Nie mogła się poruszyć ani złapać tchu. I nagle kiedy pomyślała, że powinna stawić opór, powiedzieć, że ją obraził, puścił ją i zwinnie wskoczył na siodło.

— To będzie prawdziwy szczęściarz. Powtórz mu moje słowa — zawołał i odjechał.

Hermia, widząc już tylko tumany kurzu unoszące się spod końskich kopyt, pomyślała, że śni.

Dopiero gdy nieznajomy zniknął jej z oczu, zadała sobie pytanie, dlaczego stała jak słup na środku drogi i pozwalała się całować jak naiwna wiejska dziewczucha.

To był pierwszy w jej życiu pocałunek.

Spojrzała na przedmiot trzymany w ręku i ujrzawszy złotą gwineę, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Często spacerowała samotnie po okolicy i wszyscy w wiosce wiedzieli o tym, toteż nigdy nie przyszło jej do głowy, że ktoś obcy może to uznać za dziwaczne i wziąć ją za mleczarkę. Wprawdzie znoszona, bawełniana sukienka, którą miała na sobie, zbiegła się po wielu praniach, a kapelusz dawno już wypłówał, nie wyglądała jednak jak Molly — córka farmera, która pomagała im przy dojeniu, ani jak ta starsza kobieta pracująca od dwudziestu lat na farmie Honeysuckle.

— Mleczarka! — szepnęła do siebie. Ojciec byłby zły, gdyby dowiedział się o tym zdarzeniu.

Dręczyła ją myśl, że sama była sobie winna. Przecież to ona zaczęła nieznajomego, nie przedstawiając się, i choć po kilku słowach mógł się zorientować, że rozmawia z osobą wykształconą, nie mogła winić go za pomyłkę. Z drugiej strony dla mleczarki też byłoby obelgą zostać pocałowaną przez obcego mężczyznę tylko dlatego, że pospieszyła mu z pomocą. Hermia, wściekła i upokorzona, chciała cisnąć otrzymaną gwineę w nadziei, że nikt nigdy nie dowie się o tym zajściu.

Byłoby to jednak straszne marnotrawstwo, za tę gwineę ojciec mógłby kupić biedakom z wioski wiele rzeczy, za które często płaci z własnej kieszeni. Po wojnie nadeszły ciężkie czasy i młodzi mężczyźni z trudem znajdowali pracę. Ci, którzy nie mieli dość szczęścia, by otrzymać zajęcie w pałacu albo w hrabiowskich posiadłościach, utrzymywali się z uprawy warzyw i hodowli paru kurcząt. Hermia jeszcze raz spojrzała na gwineę. Ojciec byłby rad, gdyby wrzuciła ją do kościelnej, pustej zazwyczaj, puszeki dla ubogich. Błogosławiłby nieznanego ofiarodawcę, do którego ona żywiła wręcz przeciwne uczucia.

Kiedy znów uprzytomniła sobie, że pocałował ją obcy mężczyzna, wyszeptała:

— Jak śmiał! Jak śmiał się zachować wobec mnie w taki sposób? To straszne, że przez takich jak on żadna dziewczyna nie może się czuć bezpiecznie na wiejskiej drodze!

W przyływie złości zacisnęła palce na gwinei nie mogąc zrozumieć, dlaczego zaraz nie oddała mu monety. Powinna była przejrzeć jego zamiary, gdy ujął ją pod brodę, ale nawet nie przeszło jej przez myśl, że mężczyzna,

widziany pierwszy raz w życiu, odważy się ją pocałować. Podobnego zachowania mogłaby się spodziewać jedynie po londyńskich bufonach i dandysach, których знаła z opowiadań Petera. Trzeba było mieć się na baczności, kiedy usłyszała, że klnie na środku drogi, i zgadnąć, kim jest ten mężczyzna, skoro tylko zobaczyła jego konia.

— Nienawidzę go! — powiedziała głośno.

Było jej przykro, że ten pierwszy pocałunek w niczym, nie przypominał wymarzonego. Nie był; ani czuły, ani delikatny. Dawany z miłością przypomina kwiat, muzykę i pierwszą gwiazdkę zapalającą się na niebie. Tymczasem usta tego intruza były twarde i władcze. Hermia miała wrażenie, że znalazła się w więzieniu, z którego nie było ucieczki.

— Jeśli tak wygląda pocałunek — zawołała — to nie chcę go nigdy więcej!

Wiedziała, że to nieprawda, bo w głębi duszy chciała kochać i być kochaną.

Miłość była zawsze obecna w jej marzeniach, w których awanturnicze wyprawy prowadziły ją na szczyty Himalajów albo wzdłuż afrykańskich rzek pełnych krokodyli. Bohaterka spotykała tam mężczyznę swoich snów, który wkrótce zostawał jej mężem. Do tej pory wyimaginowany wybranek nie miał twarzy, a teraz wiedziała jedno: to właśnie ten, który ją przed chwilą pocałował, uosabiał nędznika w jej wyobraźni.

Kiedy przypomniła sobie jego przymknięte powieki i wykrzywione w cynicznym grymasie usta, była przekonana, że tak wygląda nie tylko łotr, ale i szatan.

„Może nim właśnie był” — pomyślała i podniósłszy z ziemi kosz z jajkami, ruszyła w stronę domu.

Prześladowana tą myślą zastanawiała się, co powiedziała by matka, gdyby po powrocie na plebanie oświadczyła, że na drodze do Chanter pocałował ją diabeł. Co więcej, gdyby uczynił to rzeczywiście szatan, ona musiałaby stać się wiedźmą. Często słyszała opowiadaną szeptem przez wieśniaków historię, jak to w ciemnych lasach posiadłości jej stryja szatan urządza swoje hulanki, zwabiając w zasadzkę naiwne dziewczęta. We wsi nikt nie wiedział, co naprawdę przytrafiło się małej Betsy, ale mówiono, że diabeł ją opętał, bo póki go nie spotkała, była normalnym dzieckiem. Matka wprawdzie twierdziła, że to nonsens, że Betsy od urodzenia była niespełna rozumu i że lekarze nic na to nie mogli poradzić. Wieśniacy jednak wierzyli, że Betsy była diabelskim pomiotem i drżeli ze strachu, ilekroć ich mijała, a kiedy mamrotała jak zwykle pod nosem, uważali, że rzuca klątwę na tych, których nie darzy sympatią. We wsi krążyła też opowieść o innej dziewczynie, która co noc chodziła do lasu, aż wreszcie zniknęła i nikt już jej więcej nie widział. Ojciec Hermii daremnie przekonywał,

że skoro w tym samym czasie zniknął i mężczyzna, który przyjechał w gościnę z Londynu, to nietrudno wytłumaczyć, co się stało. Ale wieśniacy byli przekonani, że dziewczynę opętał szatan, ponieważ włączyła się w diabelskie płąsy.

„Niemożliwe — pomyślała Hermia, zbliżając się do wioski — by diabeł jeździł na takim wspaniałym i doskonale ułożonym koniu i żeby nosił ubranie uszyte u najlepszego londyńskiego krawca”.

Peter zapewniał ją że jedynie kroczy księcia regenta potrafili dopasować męski płaszcz tak, że leży jak ulał. Szkoda, że Petera nie ma teraz w domu. Na pewno ubawiłaby go jej przygoda, ale nawet ukochanemu bratu, któremu powierzała niemal wszystkie swoje tajemnice, nie przyzna się, że całowała się z nieznajomym. Nieważne, czy był diabłem, czy nie.

— Peter śmiałyby się ze mnie, że jestem taki głuptas — powiedziała sobie — ale papa na pewno by się gniewał.

Rzadko się zdarzało, by życzliwy ludziom i pogodny z natury ojciec wpadał w złość.

Dopiero w ostatnim roku zauważyła, że drażnią go komplementy, jakimi obdarzali ją nieliczni mężczyźni odwiedzający plebanię. Słyszała, jak mówił do matki, że nie zamierza tolerować ich impertynenckiego zachowania. Chociaż wiedziała, że postępuje nagannie, zatrzymała się wtedy pod drzwiami, ciekawa, co powie matka.

— Hermia dorasta, kochanie — zauważyła ona — a że jest bardzo ładna, nawet piękna, musisz się z tym pogodzić, że mężczyźni będą zwracali na nią uwagę, choć, niestety, w okolicy nie ma wielu kawalerów do wyboru.

— Nie pozwolę żadnemu mężczyźnie, kimkolwiek by był, kręcić się koło Hermii — powiedział twardo czcigodny Stanton Brooke.

— Nikt nie ma na razie takiego zamiaru — miękko odparła pani Brooke. — Żałuję, że twój brat i jego żona nie siana tyle uprzejmi, by zapraszać ją na bale wydawane w pałacu. Ma tyle samo lat co Marilyn.

Hermia westchnęła cicho i odeszła. Odkąd ukończyła osiemnaście lat, brat ojca— hrabia Millbrooke i jego żona ignorowali jej istnienie, nad czym matka bardzo ubolewała. Przyczynę tego Hermia знаła lepiej niż matka. Po prostu Marilyn była zazdrosna.

Przez ostatni rok, tak jak za dawnych czasów, dziewczęta uczyły się jeszcze razem, Marilyn wszakże z rosnącą zazdrością spoglądała na śliczną kuzynkę i przy każdej okazji kierowała pod jej adresem uszczypliwe uwagi. Nie mogła powiedzieć nic złego ojej urodzie, więc zajęła się strojami.

— Ta sukienka to szmata! — mówiła na przykład, gdy Hermia przyjeżdżała rankiem do pałacu. — Nie pojmuję, dlaczego robisz z siebie stracha na wróble!

— Łatwo zgadnąć — odpowiadała Hermia. — Mój ojciec nie jest tak bogaty, jak twój!

W jej głosie nie było cienia pretensji, a nawet dźwięczała w nim pogodna nuta, lecz Marilyn chmurzyła się i zastanawiała, w jaki sposób mogłaby jej jeszcze bardziej dokuczyć. Zdaniem Hermii taki podział majątku był bardzo niesprawiedliwy, chociaż matka tłumaczyła jej, że wedle tradycji to pierworodny syn otrzymuje całe rodzinne dobra, a pozostali synowie nic.

— Ale dlaczego, mamó?

Przerwała, by sprawdzić, czy córka słucha, a po chwili mówiła dalej:

— Dlatego w wielkich arystokratycznych rodach najstarszy syn dziedziczy wszystko, łącznie z tytułem, drugi zazwyczaj wstępuje do armii albo do marynarki, a trzeci zostaje duchownym, ponieważ ktoś musi sprawować opiekę nad duszami poddanych.

— To dlatego tata został pastorem! Matka uśmiechnęła się.

— Tak, dlatego. Wydaje mi się, że gdyby mógł wybierać, wolałby zostać żołnierzem. Ale, jak wiesz, jest po prostu bardzo biednym pastorem i bardzo, bardzo dobrym człowiekiem.

Hermia wiedziała, że to prawda, ojciec umiał współczuć ludziom i był przez nich szczerze kochany za dobroć i prostolinijny charakter. Starał się pomagać każdemu, kto zwracał się do niego ze swymi kłopotami, i czynił to z radością. Potrafił, na co nigdy nie zdobyłby się jego brat, godzinami wysłuchiwać utyskiwań chorej staruszki albo narzekań farmera, któremu nie udały się zbiory.

Jeśli młody człowiek wpadł w tarapaty i nie potrafił z nich wybrnąć, ojciec służył mu radą a często i finansowym wsparciem.

Przed święceniami nie zdawałem sobie sprawy — powiedział kiedyś — jak wiele ludzkich dramatów rozgrywa się w każdej, nawet najmniejszej wiosce. Gdybym był pisarzem, mógłbym na ten temat napisać książkę. Zresztą czasami wydaje mi się, że tak właśnie zrobię.

— Doskonały pomysł, kochanie — odparła żona — ale skoro teraz każdą wolną chwilę spędzasz na koniu, to przypuszczam, że z wzięciem pióra do ręki będziesz musiał poczekać, aż tak się zestarzejesz, że nie będziesz mógł wspiąć się na siodło!

Chociaż pastor bardzo lubił przebywać w domu z żoną i całą rodziną, jego drugą wielką radość stanowiły przejażdżki na koniach ze stajni brata i zimowe polowania. Hrabia nie był tak skąpy jak jego żona. Dawniej, gdy dziewczęta skończyły lekcje, Hermia biegła do stajni, aby dosiąść któregoś wierzchowca.

Teraz hrabina zabroniła jej tej rozrywki, twierdząc, że wszystkie konie właśnie trenują.

Ciotka Hermii była pospolitą kobietą i to po części tłumaczyło jej niechęć do mężowskiej bratanicy i przekonanie, że musi chronić córkę przed groźną i niepożądaną konkurentką. Prawdę mówiąc, Marilyn miała dość przeciętną urodę, choć nie można jej było nazwać brzydką. Aczkolwiek ubierała się w najdroższych pracowniach na Bond Street i zawsze miała nienagannie ułożone włosy, tylko dzięki towarzystwu kuzyna nie podpierała na balach ściany.

Hrabina Millbrooke widziała aż nazbyt wyraźnie, że obecność Hermii odbiera Marilyn należne, w jej mniemaniu, komplementy.

Kiedy Hermia nie otrzymała zaproszenia na bal w pałacu, na który tak bardzo czekała, nie mogła się uspokoić.

— Mamo, jak Marilyn mogła tak postąpić? — łkała. — Tyle razy snułyśmy plany wspólnych zabaw, gdy będziemy dorosłe. Miało być tak... wspaniale. Obiecywałyśmy sobie, że... że będziemy liczyć nasze... tańce i zobaczymy, która zwycięży.

Matka objęła ją ramieniem i przytuliła.

— Posłuchaj, kochanie, musisz spojrzeć prawdzie w oczy tak jak ja, wtedy gdy wychodziłam za twego ojca.

Hermia otarła łzy i przysłuchiwała się.

— Czy zastanawiałaś się czasem, dlaczego ciotka Edith, a nieraz i stryj John traktują mnie z wyższością?

— Zauważyłam, mamo, że są nadęci i dumni,

— To dlatego, że ojciec ożenił się ze mną wbrew woli swojej rodziny. Twój dziadek chciał, aby jego syn pojął za żonę pewną bardzo posażną, młodą kobietę, która mieszkała blisko pałacu i która jasno dawała do zrozumienia, że kocha ojca.

Hermia uśmiechnęła się.

— Nic dziwnego, mamo! Jest bardzo przystojny, więc musiał podobać się kobietom.

— Też tak uważam! To najatrakcyjniejszy i najbardziej czarujący mężczyzna na świecie.

Jej słowa brzmiały miękko, a w głosie pojawiło się rozrzewnienie, gdy mówiła dalej:

— Tymczasem ja byłam tylko córką generała, który po wieloletniej służbie dla ojczyzny opuścił armię z pensją ledwie starcząącą na utrzymanie dzieci.

Hermia usiadła.



— Teraz rozumiem, mamó. Tata ożenił się z tobą, bo cię kochał, a tamta kobieta, choć miała duży majątek, wcale go nie interesowała.

— Tak, właśnie tak było. Twoja babka i stryj błagali go, by był rozsądny, by pomyślał o przyszłości, ale on oświadczył, że podjął już decyzję!

— Więc pobraliście się i żyliście szczęśliwie — dokończyła Hermia, spoglądając na matkę błyszczącym wzrokiem.

— Bardzo, bardzo szczęśliwie. Ale ty cierpisz, kochanie, i to nie tylko dlatego, że jesteś moją córką, lecz przede wszystkim dlatego, że jesteś piękna.

Hermia zdziwiła się. Nigdy wcześniej nie słyszała takich słów z ust matki.

— To prawda — dodała ona. — Nie prawię ci komplementów. Twój ojciec i ja byliśmy bardzo szczęśliwi i zakochani, dlatego nasze dzieci są piękne nie tylko ciałem, ale i duchem.

Tak, Peter jest niezwykle przystojny — przyznała w duchu Hermia, a ponieważ ona podobna jest do matki, więc pewnie też musi być piękna.

— Pamiętaj — ciągnęła matka — że za wszystko w życiu trzeba płacić. Nic nie dostajemy za darmo i ty, kochanie, możesz traktować swą urodę jako przywilej, ale wiedz, że zapłacisz za niego. Inne kobiety będą zazdrosne i postarają się utrudnić ci życie,

„Właśnie tak postępuje Marilyn — pomyślała Hermia — skoro z pałacu nie nadchodzą już zaproszenia, a ciotka nawet w kościele rzuca jej spojrzenia pełne wrogości”.

Peter po powrocie z Oxfordu, gdzie wyjechał dzięki poświęceniu całej rodziny, opowiadał nie tylko o swoim studenckim życiu, ale i o wyprawie do Londynu, gdzie wybrał się wraz z paroma kolegami.

Będąc sam na sam z Hermią, przyznał się, że bardzo krępuje go fakt, iż nie stać go na takie ubrania, jakie noszą jego przyjaciele.

— A jakie wspaniałe mają wierzchowce, ja nigdy nie będę miał równie pięknych i rasowych zwierząt!

Peter, tak jak ojciec, mógł korzystać z hrabiowskich stajni, ale nie pozwolono mu zabrać konia do Oxfordu, więc musiał pożyczać konie od przyjaciół albo je wynajmować.

— Nienawidzę ubóstwa! — wykrzyknął ze złością gdy ostatnim razem przyjechał do domu.

— Nie mów tego przy rodzicach — upomniała go siostra. — Sprawiłbyś im ogromną przykrość.

— Wiem, ale gdy przyjeżdżam do pałacu i spotykam Williama, który, mając chyba wszystkie pieniądze świata, obmawia mnie i ubliża moim przyjaciołom, mam ochotę wyrównać rachunki i spuścić mu porządne lanie!

Hermia krzyknęła przerażona.

— Nie waż się tego zrobić! Stryj John się rozgniewa i zabroni tobie i papie jeździć na swoich koniach, tak jak zabronił mnie, bo chyba wiesz, że zakazano mi wstępu do pałacu.

— Papa mi mówił, ale to twoja wina, że jesteś tak nieziemsko piękna!

Hermia roześmiała się.

— Czy to komplement?

— Oczywiście że tak! — powiedział Peter. — Gdybyś podczas sezonu pojawiła się w Londynie odpowiednio ubrana, z pewnością byłabyś ozdobą królewskiego pałacu, a ja byłbym z ciebie bardzo dumny!

Hermia wiedziała, że myślał nie tylko o niej. Pamiętał o tym, że jego zamożni koledzy, a zwłaszcza kuzyn William, traktowali go z góry i dawali do zrozumienia, że jest tylko „biedakiem z sąsiedztwa”. Peter był bardzo podobny do ojca.

— Do diabła! Czym ja się przejmuję? Zamierzam wziąć od życia to, co najlepsze, i zapamiętaj, Hermio, moje słowa, wcześniej czy później dopnę swego!

— Wierzę ci. Wierzę, choćby i wbrew wszystkim!

Śmiejąc się i trzymając za ręce zeszli po schodach na smacznie przyrządzoną, chociaż bardzo skromną kolację. Niewielkie zasoby, jakimi gospodarowała matka, nie pozwalały na przygotowanie czegoś bardziej wyszukanego.

Teraz, wchodząc w progi plebanii, Hermia usłyszała szcęk garnków i szuranie patelnią. To oznaczało, że niania, która zajmowała się nią gdy Hermia była mała, a teraz gotowała całej rodzinie, jest zła.

Właśnie rozważała, czy podać prawdziwy powód opóźnienia, gdy niania zawołała:

— W samą porę! Gdzieś ty przepadła, spieszę się, żeby przyszykować twojemu ojcu posiłek, zanim wyjedzie do pani Grainger!

— Przepraszam, nianiu, że to trwało tak długo.

— Zawsze z głową w chmurach! — burknęła niania. — Zobaczysz, że któregoś dnia zapomnisz, gdzie mieszkasz!

Zabrała koszyk z rak Hermii, postawiła go na stole i zaczęła wybijać jaja do misy przeznaczonej do przygotowywania omletów.

— Dlaczego pani Grainger chce się widzieć z papą? — zapytała ciekawie Hermia.

— Pewnie znowu wydaje jej się, że umiera! Każdy powód jest dobry, by pastor wziął ją za rękę i powiedział, że Bóg i Jego aniołowie czekają na nią ale moim zdaniem On ma ważniejsze sprawy na głowie!

Hermia roześmiała się. Wiedziała, że uszczypliwe uwagi niani podyktowane były miłością do całej rodziny. Staruszka tak mówi, bo ich kocha i współczuje ojcu, który jej zdaniem za dużo czasu poświęcał sprawom swoich parafian.

— A teraz, panienko Hermio, proszę nakryć do stołu — powiedziała. — Może mówić, co chce, ale ja nie wypuszczę go z domu z pustym żołądkiem!

Hermia pośpieszyła wypełnić polecenie i właśnie kładła na stole w jadalni nakrycia dla trzech osób, gdy usłyszała kroki matki, wracającej z wioski. Zawsze wydawało jej się niezwykle, że w tak małej miejscowości było tyle do zrobienia, że tylu ludzi czekało na pomoc jej ojca albo matki. Dlatego w ciągu dnia rzadko trafiała się taka chwila, gdy wszyscy byli w domu.

Pani Brooke weszła na plebanię i ujrawszy córkę w jadalni, zawołała:

— Ach, kochanie, tak się cieszę, że jesteś! Miałam tyle kłopotów z biedną panią Burles, obiecałam, że przyślę jej moją wykrztuśną mieszankę. Może zaniósłabyś ją po lunchu?

— Oczywiście, mam.

Matka zatrzymała się w otwartych drzwiach.

— Przyniosłaś jajka z farmy Honeysuckle? Czy pani Johnson miała jakieś wieści od syna?

— Nie, nic o nim nie wie.

Matka posmutniała i chyba pierwszy raz w życiu Hermia zadała sobie pytanie, ilu ludzi potrafiloby się przejmować troskami innych tak jak jej rodzice. Jeżeli podczas mszy usłyszeli, że zachorowało dziecko, zmarł starzec albo ktoś nie otrzymał wiadomości od syna, odbywającego służbę w wojsku, stawało się to ich osobistym zmartwieniem. Naprawdę Hermia często odnosiła wrażenie, że radości wieśniaków są ich radościami, a kłopoty ich kłopotami. Tak jakby byli częścią ogromnej rodziny, mówiła sobie. Zupełnie inne życie prowadzili ludzie tacy jak jej ciotka i stryj. Otoczeni gronem znajomych żyli tylko dla siebie, nie interesując się sprawami innych.

A jednak z bólem serca myślała o tym, że Marilyn nie jest już jej przyjaciółką. Jakże inaczej wyglądała ich przyjaźń, gdy były dziećmi i rywalizowały ze sobą na lekcjach. Zawsze miały tysiące spraw do załatwienia w starym domu, który od pokoleń należał do rodziny Brooke'ów, w doskonale utrzymanych ogrodach, a przede wszystkim w stajniach.

Hrabia ożenił się dopiero wówczas, kiedy doszedł do wieku, który, w powszechnym mniemaniu, stanowił najwyższy czas na zawarcie małżeństwa,

więc córka jego młodszego brata była niemal rówieśniczką jego córki. Dlatego wydawało się oczywiste, że tak bliskie kuzynki powinny wychowywać się razem. Dla rodziców Hermii był to wielki zaszczyt. Ona sama natomiast dzięki temu szybko się zorientowała, jaka przepaść dzieli ich od stryja Johna. Bardzo wcześnie pojęła, że podstawowa różnica między obu rodzinami leży w szczęściu, które zdawało się wypełniać słonecznym blaskiem całą plebanię, podczas gdy w pałacu panowała zawsze posepna, przygnębiająca atmosfera. Nieco później zrozumiała, że jej stryjostwu nie ułożyło się wspólne życie. Przy obcych starali się zachowywać pozory i tylko wnikliwy obserwator mógł dostrzec, że to jedynie gra. Dopiero gdy zostawali sami, zrzucali maskę. Hrabina nie ukrywała, że denerwuje ją wszystko, co dotyczy męża, a on, człowiek zazwyczaj zgodny, okazywał wyraźnie, jak drażni go każda propozycja żony, co rodziło między nimi napięcie, wyczuwalne dla osoby tak delikatnej i wrażliwej jak Hermia.

Gdy w domu nie było gości, dziewczęta jadały lunch na dole, ale Hermia wolała proste potrawy, przyrządzane na plebanii przez nianię, niż wykwintne smakołyki podawane w pałacu przez lokajów. Kiedy wracała wieczorem do domu, jak dziecko zarzucała matce ręce na szyję i mówiła:

— Kocham cię, mamusiu, kocham przebywać z tobą i kocham nasz mały, ciepły dom, w którym wszyscy jesteśmy razem.

Pani Brooke rozumiała uczucia córki, ale wiedziała też, jak ważne było, by Hermia studiowała i uczyła się wszystkiego, co mogła jej przekazać doświadczona, kosztowna guwernantka.

— Obawiam się, kochanie — mówiła — że jeśli przestaniesz chodzić do pałacu, będziesz mogła mieć tylko lekcje z ojcem i to jedynie od czasu do czasu, bo on albo zapomni, albo będzie zajęty!

Hermia roześmiała się, wiedząc, że to prawda.

— Chyba że poprosimy biedną starą pannę Cunningham, która kiedyś była guwernantką, by pomogła ci w nauce. Tylko ona jest prawie niewidoma.

— Rozumiem, mammo — odpowiadała czternastoletnia Hermia. Jestem stryjostwu wdzięczna za to, że mogę uczyć się u panny Wade. Przy okazji, co dla mnie jest nawet ważniejsze niż lekcje, korzystam z pałacowej biblioteki. Kustosz stryja Johna twierdzi, że tylko ja interesuję się zbiorami. Obiecał nawet dołączyć do listy zakupów moje ulubione tytuły.

— W takim razie rzeczywiście masz bardzo, bardzo dużo szczęścia — uśmiechnęła się pani Brooke.

Ale teraz pozbawiono jej tej przyjemności. Mogłaby wprowadzić pójsć do biblioteki, zwłaszcza gdy stryja i ciotki nie było w domu, lecz duma nie

pozwalala jej korzystać z ich książek, skoro nie życzyli sobie jej obecności w pałacu. Poradzi sobie tak samo jak zamierzał to zrobić Peter, i dostanie to, czego chce, bez pomocy krewnych.

Po lunchu ojciec zaprzął do dwukółki rozbrykanego, młodego ogiera, którego niedawno tanio kupił od jednego z farmerów, i pośpieszył na umówione spotkanie. Hermia zaś wzięła buteleczkę z miksturą i wyruszyła do domku pani Burles.

Maści i syropy jej matki słynęły w całej wsi ze swoich uzdrawiających właściwości. Hermia podejrzewała, że miejscowi plotkarze, opowiadający o diabelskich hulankach w lesie, uważali żonę pastora za białą wiedźmę.

— Twoja matka czyni cuda! — przed tygodniem powiedziała Hermii jedna z wieśniaczek. — Albo odprawia czary!

Dziewczyna od razu zrozumiała, co miała na myśli.

— Mama wierzy, że Bóg przygotował lekarstwo na każdą chorobę — odparła stanowczo. — Gdy poparzemy się pokrzywą liście szczawiu ukoją ból.

Tego samego argumentu użyła już wcześniej, w rozmowie z inną kobietą, ale ta nie chciała jej słuchać.

— To nic innego, tylko czary — oświadczyła. — Twoja mama przysłała mi nalewkę i nazajutrz oparzenie, które miałam na rękę, zniknęło bez śladu!

— Może pani podziękować pszczołom — roześmiała się Hermia. — Tam był miód.

Mówiąc to, wiedziała, że nie przekona tej kobiety. Nic dziwnego, ludzie mieszkający w małych, pokrytych strzechą domkach, otoczonych miniaturowymi ogrodami, nie mieli ciekawszych tematów do rozmów.

Zielone pastwisko dookoła stawu i czarno-biały zajazd, gdzie stali bywalcy popijali piwo z cynowych kufli, były, oprócz małego kościoła z szarego kamienia, jedynymi miejscami spotkań. W Little Brookefield, które swą nazwę zyskało od nazwiska rodziny Brooke'ów, nigdy nic ciekawego się nie działo. Hrabia był właścicielem ziemi, gospodarstw i domów, zatrudniał młodych i zdrowych mężczyzn i, oczywiście, płacił pensję pastorowi, który sprawował pieczę nad duszami jego poddanych.

— Oni chcą wierzyć w nadprzyrodzoną moc — powiedziała sobie Hermia.

Sama uważała, że wróżki, diabluki, nimfy i elfy, o których opowiadała jej w dzieciństwie matka, naprawdę istnieją. Ilekroć znalazła się w ciemnym lesie, wyobraźnia natychmiast podsuwała jej myśli o elfach i diablukach kryjących się pod drzewami i o nimfach, jak poranna mgła unoszących się nad jeziorkiem w środku lasu, nad które chodziła, gdy chciała zostać sama.

Wiosną kwitły tam niebieskie dzwonki, tak piękne, że musiały być zaczarowane, a po nich zakwitwały pierwiosnki i fiołki. Wysoko nad głowami ptaki wiły w koronach drzew swoje gniazda, a w krzakach przemykały zające. Rude wiewiórki czmychały na jej widok, a po chwili zatrzymywały się, zerkając ciekawie, jakby zastanawiały się, co to za intruz śmie zakłócać im spokój. Wszystko to było tak cudowne, że Hermia nie chciała wierzyć w to, co było złe i przerażające.

Pomyślała o człowieku, który pocałował ją tego ranka. Prawdopodobnie dotarł na swym wspaniałym koniu do serca lasu i przepadł, gdyż nie był ludzką istotą. Poczowała wzbierającą złość i przypomniała sobie, że w kieszeni sukienki wciąż ma złotą gwineę. Zapomniała o niej nakrywając do stołu, a potem, podczas lunchu, śmiech i wesołe rozmowy zwróciły jej myśli w innym kierunku.

Teraz, oddawszy pani Burles „czarodziejski syrop na kaszel”, skierowała się w stronę kościoła. Stał bardzo blisko plebanii, właściwie po drugiej stronie drogi. Hermia wślizgnęła się do kruchty, od dawna wymagającej remontu, i zatrzymała się na ułożonej z kamiennych płyt posadzce. Kościół był bardzo stary. Stał w tym miejscu już ponad trzysta lat. Za każdym razem, gdy Hermia przychodziła na mszę, czuła promieniującą z tych murów potęgę modlitwy tych, którzy czcili tu Boga i zostawiali w świątyni część siebie.

— Myśli nigdy nie giną ani nie ulegają zapomnieniu — powiedział kiedyś ojciec.

— Co to znaczy, papo?

— Kiedy o czymś myślimy i kiedy się modlimy, wysyłamy je w świat jak na skrzydłach. Wznoszą się dzięki naszej energii, a może i dzięki innym siłom, których my nie rozumiemy, do wieczności.

— To przerażające! — zaprotestowała Hermia. — Na przyszłość muszę być bardzo ostrożna!

— Nie możesz przestać myśleć, tak jak nie możesz przestać oddychać— roześmiał się ojciec. — Wierzę, że gdziekolwiek jesteśmy, zostawiamy tam nasze myśli, które żyją.

Zrozumiała, że mówiąc to miał na myśli kościół, gdzie oddychało się atmosferą dającą życiu energię. W kościele nigdy nie czuła się osamotniona. Zawsze byli tam z nią ludzie, których nie widziała, a którzy pochodzili z Little Brookefield. Przychodząc do świątyni, powierzali jej murom swoje troski i radości. One to nadawały temu miejscu atmosferę świętości, której ludzie poszukują w Domu Bożym i którą ona odczuła, wchodząc w te progi. Czuła, że

nie jest tu sama, że otacza ją miłość i że ta miłość ją ochroni, wesprze i natchnie energią gdy będzie tego potrzebowała.

Kiedy wyjęła z kieszeni gwineę, odniosła wrażenie, że dookoła stoją niewidzialne istoty, które rozumieją dlaczego wkłada monetę do puszek dla ubogich. Dzięki niej, ojciec uczyni ludziom wiele dobrego. Przez otwór w wieku wsunęła ją do środka, usłyszała przenikliwy brzęk, gdy upadła na dno. Uklękła w jednej ze starych, dębowych ławek i podniosła wzrok na ołtarz. Kwiaty, które jej matka ustawiła poprzedniej soboty, wciąż kwitły i mieniły się cudowną tęczą barw. Hermia poczuła nieznaną radość.

— Boże, spraw, niech się coś zmieni — poprosiła. — Pragnę mieć życie bogatsze niż to, które wiodłam do tej pory.

Zanosząc modły do Boga, czuła niemal, jak wyrastają jej skrzydła i unoszą daleko stąd. Podążała ku wielkiemu światu, o którym tak niewiele wiedziała. Były tam góry, jak w jej opowieściach, które trzeba było zdobywać; rzeki, które trzeba było przejść, i morza, które trzeba było przepłynąć.

— Błagam, Boże, daj mi to wszystko!

A może żąda od Boga zbyt wiele i Bóg, tak jak ojciec, powie, że powinna się zadowolić tym, co ma?

— Jestem taka szczęśliwa, że... mam aż tyle — próbowała siebie przekonać. Ale wiedziała, że to nieprawda.

## Rozdział drugi

Kiedy Hermia wróciła na plebanie, w domu nie było nikogo. Niania wyszła po zakupy, a rodzice udali się na wieś odwiedzić ludzi, którzy zwrócili się do nich o pomoc.

Była szczerze zdziwiona, że nie zostawiono jej listy poleceń do wykonania.

Ucieszyła się, że będzie mogła przeczytać kolejny fragment niezwykle interesującej powieści. W dzień zazwyczaj nie miała czasu na czytanie, wieczorem zaś, gdy zmęczona kładła się do łóżka, zasypiała szybko i dlatego skończyła dopiero pierwszy rozdział. Przyniosła z sypialni książkę, skuliła się w salonie na parapecie okiennym, ułożyła wygodniej i zagłębiła się w lekturze. Tak bardzo pochłonęła ją pasjonująca intryga, że przelekła się, gdy ktoś otworzył drzwi. Niecierpliwie odwróciła głowę, sądząc, że zaraz niania każe jej przynieść z ogrodu miętę albo urwać sałatę na kolację, i ze zdziwieniem zobaczyła kuzynkę Marilyn. Wyglądała niezwykle pięknie w sukni, uszytej na pewno wedle najnowszej mody.

Podczas wojny większość, nawet bogatych, kobiet nosiła skromne i gładkie suknie z białego muślinu. Ale ta tkanina nieskromnie opinała sylwetkę, odsłaniając nie tylko krągłości figury, ale i skąpą bieliznę.

Teraz noszono toalety szyte z kosztownych materiałów, ozdabiane haftem lub koronkami. Suknię Marilyn oblamowano aż trzema warstwami koronek. Kapelusz z szerokim rondem, który miała na głowie, Hermia widziała na ilustracji w „The Ladies Journal”, a satynowe wstążki, związane pod brodą i w pasie, musiały pochodzić prosto z Paryża.

W milczeniu spoglądała na kuzynkę, dziwiąc się, że przyjechała tu osobiście, skoro mogła wezwać ją do pałacu.

— Marilyn! Co za niespodzianka! Tak dawno cię nie widziałam! — rzekła po chwili.

Marilyn nie wyglądała na zawstydzoną, chociaż nie odwiedzała Hermii od świąt Bożego Narodzenia.

Byłam bardzo zajęta, ale teraz potrzebuję twojej pomocy. — Mojej pomocy?

Spośród wszystkich ludzi przychodzących na plebanie w poszukiwaniu pomocy Marilyn była ostatnią, która mogła jej potrzebować. Hrabina powtarzała bez ogródek, że według niej „bratanie się z niższymi klasami” jest stratą czasu.

— Nie spodziewaj się, że będą ci wdzięczni — powiedziała pewnego razu do szwagra. — Ludzie ich pokroju przyjmują pomoc bez zmrużenia oka i jeszcze narzekają że nie robi się dla nich więcej.



— W przypadku mojej gromadki to się nie sprawdza — zaprotestował pastor. — Kiedy rok temu Elizabeth zachorowała, byliśmy ogromnie wzruszeni maleńkimi podarunkami, przynoszonymi każdego dnia, i modlitwami naszych podopiecznych o jej szybki powrót do zdrowia.

Hrabina wzruszyła ramionami, ale Hermia pamiętała, jak bardzo matka była rozczulona tymi dowodami troski. Sami mieli tak mało, a jednak wszystkim chcieli się z nią podzielić. Czasami było to tylko świeże jajko, na które, ich zdaniem, mogłaby mieć ochotę na śniadanie, czasami wiązanka kwiatów z ogrodu, a od bardziej praktycznych plaster złocistego miodu.

Hermia rozumiała, choć ojciec nigdy by tego hrabinie nie wytłumaczył, że to nie wartość prezentu ma znaczenie, ale współczucie i sympatia płynące prosto z serc tych ludzi.

Teraz podeszła do wystrojonej kuzynki z lekką obawą. Marilyn wyglądała bardzo atrakcyjnie, lecz w jej spojrzeniu kryła się pogarda. Nie pocałowawszy Hermii na powitanie, rozejrzała się po pokoju szukając najwygodniejszego krzesła i usiadła ostrożnie, jakby bała się, że nogi mebla złożą się pod jej ciężarem.

Hermia przysiadła na stołku przy kominku, odsuwając na bok robótkę matki, bo wiedziała, że Marilyn dostrzeże zaraz każdy nieporządek.

I nagle, spoglądając na wszystko oczyma kuzynki, zauważyła, że dywan był wytarty, zasłony wypłowiałe, a przy sosnowym stoliku brakowało mosiężnego uchwyty.

Potem dumnie uniosła głowę. Wszystko jedno, co pomyśli Marilyn, ona, Hermia, nie zamieniłaby biednej, ale przepełnionej miłością i szczęściem plebanii na pałacowe luksusy.

Popatrzyła na przybyłą zastanawiając się, czego może chcieć od niej.

— Nie wiem, czy mogę ci zaufać? — spytała Marilyn cierpkim tonem.

— Zaufać mi? Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Aby zrealizować swój plan, muszę komuś zaufać — odparła Marilyn — a nie wierzę, abyś ty, córka pastora, zrobiła potajemnie coś, co twój ojciec mógłby uznać za niezgodne z zasadami.

Hermia zdrewniała. Już miała zacząć się bronić, gdy nagle rozmyśliła się i powiedziała cicho:

— Marilyn, znamy się od osiemnastu lat. Jeśli do tej pory mnie nie poznałaś, nie mogę zrobić nic więcej, by cię przekonać, że jestem sobą!

Marilyn, nie chcąc jej denerwować, odparła pośpiesznie:

— Nie, nie, oczywiście że nie! Po prostu trochę się boję prosić cię o to.

Hermii wcale to nie zdziwiło. Od pięciu miesięcy nie widziała swojej kuzynki, a i przedtem spotkały się tylko z okazji bożonarodzeniowego przyjęcia.

Mieszkańcy plebanii bardzo nie lubili tych uroczystych świątecznych kolacji w pałacu.

Mimo że była to właściwa pora na okazywanie dobrej woli, dla pastora dzień narodzin Jezusa był, chociażby ze względu na liczbę odprawianych nabożeństw, dniem bardzo pracowitym. Odwiedzał wówczas tych, którzy byli chorzy albo zbyt słabi, by przyjść do kościoła.

— Jestem śmiertelnie znużony — poskarżył się ojciec podczas ostatnich świąt, gdy wybierali się do pałacu. — Tak naprawdę, kochanie, to mam ochotę usiąść z tobą i z dziećmi przy kominku i wypić szklaneczkę porto.

Matka roześmiała się.

— W pałacu nie zabraknie trunków.

— Ani złośliwych uwag, których trzeba będzie wysłuchać — odparł ojciec.

Matka podniosła się, usiadła na poręczy jego krzesła i odgarnęła mężowi włosy z czoła.

— Wiem, kochanie. To straszne, że musimy tam iść. Edith na pewno będzie próbowała nas pognębić, ale myślę, że w głębi serca twój brat bardzo chce się z tobą zobaczyć.

— John jest w porządku — przyznał pastor — ale ma żonę, której nie znoszę, syna, który zachowuje się jak młody, zaperzony kogut, i córkę, za którą przepadałem, gdy była małą słodką dziewczynką, a która wyrosła na zarozumiałą młodą damę!

Pastor rzadko wyrażał się o kimś tak krytycznie. Żona uśmiechnęła się i odparła:

— Niania powiedziałaaby: „gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Nie zapominaj, że jutro jest polowanie i skoro zamierzasz skorzystać z konia twego brata, musisz zapracować na ten przywilej. Zresztą nie zabawimy tam długo.

— Uwielbiam cię! — roześmiał się pastor. — Zawsze potrafisz spojrzeć na sprawę z właściwej perspektywy. Zniosę od Edith wiele, dopóki Peter i ja będziemy mogli dosiadać ich wspaniałych koni.

Matka poszła na górę, by przebrać się do kolacji. Hermia pomyślała, że miała rację, na świecie nie ma nic za darmo. I dla niej, odkąd dorosła, świąteczne kolacje stanowiły nieprzyjemny obowiązek. Ciotka i Marilyn od razu zwrócą uwagę na jej tanią bo na lepszą nie było stać ojca, wieczorową sukienkę. Na pewno znajdą sposób, żeby dokuczyć pastuszcze, która przez

pomyłkę trafiła do królewskiego pałacu. Marilyn, chcąc wyrzucić na niej wrazenie i przedstawić się jako osoba bywała w wielkim świecie, nie omieszka pochwalić się swymi sukcesami w Londynie. Jak dziecko, które pokazuje drugiemu, że ma więcej zabawek, była gotowa na wszystko, byle tylko zadziwić kuzynkę.

Hermia nigdy nie słyszała o osobistościach, o których rozprawiała Marilyn, więc milczała i udając, że uważnie słucha, błędziła myślami wokół Petera, nad którym znęcał się William.

Młody hrabia, wystrojony jak świąteczne drzewko, dokładał starań, by udowodnić kuzynowi, że jest wiejskim prostakiem.

— Pocieszam się tym — mówił Peter w drodze do domu — że ja na pewno ukończę Oxford, on zaś prawdopodobnie obleje ostatni semestr. Williama tak bardzo absorbują kawiarniane rozrywki, że chyba odpadnie.

Hermia wsunęła dłoń w rękę brata.

— Nie przejmuj się tym, co on mówi. Jest zazdrosny, bo wyglądasz i jeździsz konno sto razy lepiej od niego i gdybym to ja była jedną z tych londyńskich piękności, którym, jak twierdzi, zawrócił w głowie, zanudziłabym się z nim na śmierć!

Peter parsknął śmiechem, Hermia miała rację.

W porównaniu z Peterem William rysy twarzy miał dość pospolite. Szpeciły go zbyt blisko osadzone oczy i wystająca górna warga, którą odziedziczył po matce. Nie był też dobrym jeźdźcem. Na polowaniach Peter zawsze galopował na przedzie i lekko przesadzał najwyższe płoty, a on, choć dosiadał najlepszego konia ze stajni swojego ojca, zostawał w tyle.

„Tak, ta ostatnia świąteczna kolacja była chyba najgorsza ze wszystkich” — pomyślała Hermia. Marilyn była dla niej wyjątkowo nieprzyjemną toteż Hermie bardzo zaskoczyła jej dzisiejsza wizyta.

Siedząc na stołku czekała, aż kuzynka wyjaśni powód swoich odwiedzin.

Sadząc, że powinna być miłsza niż zwykle, Marilyn po chwili milczenia zauważyła:

— Widzę, że wyrosłaś już z tej sukienki! Jest za ciasna i za krótka! Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Mam sporo ubrań, których nie będę już nosić!

Hermia znieruchomiała. Przyszło jej namyśl, że prędzej ubierze się w szmaty i łachmany, niż przyjmie łaskę Marilyn. Lecz zaraz zgaśniła się za takie samolubstwo.

Rodzice z trudem zdobywali każdy kawałek materiału na sukienkę, bo wszystkie dodatkowe pieniądze wydawano na ubranie Petera, a i tak ubiegłej nocy, gdy ojca nie było w pokoju, brat zwrócił się do matki:

— Mamo, jak myślisz, czy mógłbym otrzymać nową kurtkę do konnej jazdy? Ta, którą noszę, jest bardzo stara, a ponieważ mam szansę wystąpić w wyścigach pałacu Blanheim, nie chciałbym przynieść wam wstydu.

Matka uśmiechnęła się.

— Wiesz, że nigdy nie przynosisz nam wstydu, aleja też zauważyłam któregoś dnia, że twoja kurtka jest już zniszczona. Postaramy się zdobyć pieniądze na nową.

Peter objął matkę i pocałował.

— Jesteś naszą opoką! — Wiem, że mało wydajecie na swoje potrzeby, i czuję się jak natrętny żebrak.

— Dostaniesz, kochanie, swoją kurtkę do konnej jazdy. Jakoś zdobędziemy na nią pieniądze!

Hermia wiedziała, co to oznacza. Zamiar nabycia sukni dla mamy i kapelusza dla niej spełził właśnie na niczym.

— To bardzo, bardzo uprzejmie z twojej strony, Marilyn — powiedziała prędko — że chcesz oddać mi coś, co nie będzie ci już potrzebne. Dobrze wiesz, że dla moich rodziców to wielka ulga, bo muszą oszczędzać każdy grosz.

— Każę mojej pokojówce zapakować wszystko, czego już nie zamierzam nosić — obiecała Marilyn. — A teraz pozwól, że zdradzę ci moją prośbę.

— O co chodzi?

— Najpierw muszę ci powiedzieć, że przyjechał do nas bardzo ważny gość.

Hermia nie spuszczała wzroku z kuzynki.

— To markiz Deverille, którego ja, krótko mówiąc, zamierzam poślubić.

Hermia krzyknęła:

— Och, Marilyn, jakie to cudowne! Bardzo go kochasz?

— Miłość nie ma tu nic do rzeczy, markiz Deverille jest, bez wątpienia, najbardziej pożądaną partią w Londynie!

— Dlaczego? — zacięła się Hermia.

— Bo jest bogaty i ma wyrobioną pozycję. Jest właścicielem licznych domów i folwarków, które, tak jak i jego konie, są najlepsze w całej Anglii.

— Zdaje mi się, że słyszałam, jak papa o nim opowiadał — Hermia zmarszczyła brwi.

— Mało prawdopodobne, by stryj Stanton znał markiza — rzekła pośpiesznie Marilyn. — On się obraca tylko w najlepszym towarzystwie. Jego

konie zwyciężają we wszystkich klasycznych gonitwach, więc gdziekolwiek się pojawi, wzbudza entuzjazm.

Westchnęła cicho i powiedziała po prostu:

— Jako jego żona będę miała niemal królewską pozycję! Wszyscy będą mi zazdrościć, że zdołałam go usidlić.

— I myślisz, że będziesz z nim szczęśliwa? Po chwili wahania, Marilyn odparła:

— Kiedy zostanę markizą Deverille, będę bardzo, bardzo szczęśliwa.

W jej głosie zabrzmiała tak dobrze znana Hermii twarda nuta. Gdy Marilyn coś sobie postanowiła lepiej było się nie sprzeciwiać. Jej dziecięce kaprysy tak bardzo męczyły nianię i guwernantkę, że starały się schodzić dziewczynce z drogi. Hermia doskonale wiedziała, że miła buzia kuzynki kryje żelazny charakter.

Kiedy Marilyn stwierdziła, że lekcja jest nudna, bez wahania wybiegała z sali, zostawiając Hermie z zakłopotaną nauczycielką która nie wiedziała, jak postępować z tak niesforną uczennicą. Hermia zawsze lubiła się uczyć, dlatego uspokajała guwernantkę, prosząc, by nie zwracała uwagi na krnąbrną dziewczynkę i prowadziła lekcję dalej.

Jeśli więc teraz Marilyn postanowiła wyjść za mąż za markiza, czy za jakiegokolwiek innego mężczyznę, to z pewnością nie uda mu się tak łatwo wywinać.

— Marilyn, skoro poślubiasz mężczyznę, którego kochasz, mogę ci tylko życzyć tyle szczęścia, ile go jest na ziemi!— powiedziała głośno Hermia.

— Wiedziałam, że to powiesz, ale właśnie dlatego musisz mi pomóc go zdobyć.

— Więc ci się nie oświadczył?

— Oczywiście że nie! W chwili, gdy to uczyni, zamieszczę wiadomość w „Gazette”, by nie mógł cofnąć danego słowa; każda kobieta w Londynie będzie miała ochotę wydrapać mi oczy za to, że zwyciężyłam, gdy ona przegrała.

— Czy jest nieziemsko przystojny? Czy bardzo go kochasz?

— Na razie wymyka mi się z rąk. Przyjął zaproszenie papy bardziej ze względu na klacze przywiezione z kontynentu, niż żeby być ze mną. Kosztowało mnie wiele pracy sprowadzenie go do pałacu.

Teraz mówiła jak wtedy, gdy się razem wychowywały.

— Muszę go zdobyć! Ty wiesz, że muszę sprowokować go do oświadczeń, a to nie będzie łatwe!

— Dlaczego? Wyglądasz tak pięknie, że nie wierzę, by przebywając tak blisko ciebie w pałacu, nie był tobą oczarowany.

— Chciałabym tak myśleć, ale o jego względy zabiegają najpiękniejsze kobiety w Londynie.

Przerwała, a potem powiedziała do siebie:

— Na szczęście wszystkie są mężatkami, a markiz będzie musiał się wreszcie ożenić i spłodzić dziedzica. Słyszałam, że nienawidzi swego kuzyna, który zostałby spadkobiercą gdyby on nie miał syna.

— Jestem pewna, że zechce cię poślubić — upewniała ją Hermia.

Marilyn zamyśliła się. Po chwili milczenia rzekła:

— Jeden z jego krewnych mówił mi w tajemnicy, że już od pięciu lat rodzina na kolanach błaga markiza, by znalazł sobie żonę!

— Cóż z tego, skoro nie słucha? — zapytała Hermia.

— Nie bądź głupia! Przecież ci powiedziałam, że nienawidzi kuzyna, który by chętnie wydziedziczył jego, jego siostry, ciotki, babkę i wszystkich należących do rodziny Deverille.

— I tylko za to go nienawidzi? — ciekawie dopytywała się Hermia.

— Nigdy nie widziałam tego kuzyna — odparła Marilyn — ale słyszałam, że zawsze jest pijany jak bela i spędza czas kręcąc się wokół aktorek o wątpliwej reputacji.

Zaśmiała się cicho.

— Nikt nigdy nie spodziewałby się takiego zachowania po markizie, który dba o opinię! Jest ostrożny, gdyż w młodości przeżył wielkie rozczarowanie wplątując się w niefortunny romans.

— Co się stało? — zapytała Hermia. Marilyn wzruszyła ramionami.

— Nie znam szczegółów, bo to było dawno, kiedy był bardzo młody, ale domyślam się, że dlatego ma złą opinię o kobietach i o wiele bardziej interesuje się końmi!

Wzięła głęboki oddech i ciągnęła:

— Lecz musi się ożenić, a ja postanowiłam zostać jego żoną!

— Na pewno, najdroższa — odparła Hermia — ale w dalszym ciągu nie wiem, jak miałabym ci pomóc.

— Właśnie chcę ci to powiedzieć. Głos Marilyn nabrał mocy, gdy rzekła:

— Markiz powiedział papie wczoraj przy kolacji, że wojna wszystko zmieniła. Zamożne rodziny ] albo straciły majątki, albo nie były w stanie ich utrzymać na takim poziomie jak dawniej, więc przestały się troszczyć i o swych podwładnych.

Zerknęła na Hermie, a upewniwszy się, że kuzynka słucha z zainteresowaniem, mówiła:

— „Mój ojciec — powiedział markiz — znał po imieniu każdego pracownika, tak jak znał imiona psów używanych do polowania na lisy, a matka odwiedzała wszystkie domy należące do naszej posiadłości. Jeśli ktoś zachorował, przynosiła mu zupę i lekarstwa. Opiekowała się też dziećmi, a gdy dorosły, znajdowała im pracę u nas lub u naszych krewnych”.

Hermia pomyślała, że jej rodzice robili to samo, choć w dużo bardziej skromnym zakresie.

— „Dzisiaj już nikt tak nie postępuje — powtarzała Marilyn słowa markiza — i dlatego rozumiem niezadowolenie robotników z północy, a mówiono mi, że konflikty narastają i na południu kraju”.

Przerwała i zapytała:

— Czy teraz rozumiesz, o co mi chodzi?

Widząc, że Hermia spogląda na nią ze zdziwieniem, odezwała się swym dawnym oschłym tonem:

— Hermio, nie bądź głupia! Muszę go przekonać, że, tak jak jego matka, interesuję się losem naszych wieśniaków i że im pomagam.

— Ależ Marilyn... — zaczęła Hermia i zaraz umilkła. Miała zamiar powiedzieć, że przez te wszystkie lata, odkąd się znają ani razu nie zauważyła, żeby kuzynka wykazała choćby cień zainteresowania losem któregokolwiek z mieszkańców wioski. Co więcej, hrabina zawsze drwiła z jej rodziców, którzy poświęcali im tyle czasu.

Pewnego razu, gdy hrabia odprawił robotnika, bo z relacji zarządcy wynikało, że źle i wolno pracuje, ojciec błagał brata, by dał mu jeszcze szansę.

— Jest chory — tłumaczył — a nie może zostać w domu, gdyż nie otrzyma wówczas wynagrodzenia. Jego żona jest kolejny raz w ciąży, a mają już trójkę małych dzieci.

Hrabia nie chciał nawet słuchać.

— Pozostawiam te sprawy mojemu zarządcy — powiedział — i nigdy się nie wtrącam!

Wówczas ojciec z własnej kieszeni łożył na utrzymanie tego człowieka i jego rodziny, a potem cudem znalazł mu pracę, która uchroniła ich przed głodem. To był tylko jeden przykład wybrany z długiej listy przypadków, często zdarzających się w majątku. Ojciec, choć nigdy tego głośno nie powiedział, bolał nad obojętnością brata wobec ludzkiej niedoli.

— Nie mam pojęcia, Marilyn, o co mnie prosisz — powiedziała nieśmiało Hermia.

— Obmyśliłam cały plan — odparła Marilyn. — Obiecuj, że zrobisz dokładnie tak, jak ci powiem.

— Zrobię, jeśli to tylko będzie możliwe — przyrzekła Hermia.

— Całkiem możliwe. Posłuchaj...

Marilyn pochyliła się i zniżyła głos, jakby w obawie, że ktoś ją podsłucha.

— Postanowiłam towarzyszyć markizowi, gdy jutro rano wybierze się na przejażdżkę. Wiem, że ani papa, ani William nie zamierzają zrywać się skoro świt, a markiz lubi spacerować przed śniadaniem.

Hermia uniosła brwi.

— Nie przypuszczałam, że wstajesz przed śniadaniem! — powiedziała.

Jeśli mam powód, to mogę wstać i o brzasku — oznajmiła Marilyn. — A teraz słuchaj mnie uważnie...

— Słucham.

— Zjawię się w stajni i zaproponuję, abyśmy wspólnie pojechali do Bluebell Wood, Wiesz jak tam jest pięknie i romantycznie!

— Tak... wiem oczywiście — przytaknęła Hermia.

— Znajdziemy się tam około wpół do ósmej — mówiła dalej Marilyn — i powoli będziemy jechać przez las. Chcę, żebyś tam przyjechała, udając, że mnie szukasz

— Ja?! — wykrzyknęła Hermia.

— Tak. Przygalopujesz i krzykniesz: „Och Marilyn, szukam cię wszędzie! Biedna, stara pani Humpty-dumpty jest umierająca, ale nie może odejść z tego świata, póki się z tobą nie pożegna i nie podziękuje ci za to wszystko, co dla niej uczyniłaś!”

Hermia nie wierzyła własnym uszom. Był to dość osobliwy i chyba mało wiarygodny sposób.

Jakby czytając w myślach kuzynki, Marilyn rzekła:

— Możesz to wyrazić własnymi słowami, ale tak, by zabrzmiało przekonująco, jakby ta kobieta naprawdę mnie wzywała.

— Postaram się — odparła Hermia — ale co... co potem?

— Wszystko starannie przemyślałam. Ja zawołam: „Och, biedna pani Humpty-dumpty! Muszę się spieszyć!” i odjadę. W razie, gdyby markiz chciał mi towarzyszyć, zwrócę się do ciebie i powiem: „Wskaż jego lordowskiej mości drogę do pałacu!”, a potem, zanim się do mnie przyłączy (bo na pewno będzie próbował), zdążę już zniknąć wam z oczu.

— A jeśli będzie nalegał, by podążyć za tobą? — zapytała Hermia.

— Wtedy musisz mu w tym przeszkodzić. Pojadę prosto do wioski, a stamtąd inną drogą, przez nikogo nie zauważoną, wrócę powoli do domu.

Wykrzywiła usta w uśmiechu i dodała:



— Potem opowiem markizowi, jak to biedna staruszka umarła, szczęśliwa, że trzymałam ją za rękę. Pomyśli wówczas, że jestem podobna do jego matki, bo troszczę się o naszych włościan.

Zapadła cisza. Marilyn po chwili spytała: — No, co o tym sądzisz? Chyba nie wyznaczyłam ci zbyt trudnej roli?

— Nie... oczywiście, że... nie — odparła Hermia.— Mam... mam nadzieję, że... markiz mi uwierzy.

— Dlaczego miałyby nie uwierzyć? Jeśli tak się stanie, to tylko z twojej winy!

— Proszę, nie mów tak! Wiesz, że ze wszystkich sił będę się starała udawać, że ktoś naprawdę leży na... na łożu śmierci, tak jak wtedy, gdy przysyłają po moją mamę, ale...

Głos jej uwiązł w gardle. Nie mogła przecież powiedzieć, że tylko bardzo głupi mężczyzna może uwierzyć, iż Marilyn troszczy się o kogoś więcej niż o siebie. Zaraz też zganiła się za tak nieszlachetne myśli! Będzie się starała przekonać markiza, że mieszkańcy majątku szukają jej kuzynki ciepła i pociechy w swych kłopotach.

Uważała, że to nie będzie łatwe, ale nie umiając tego jasno wyrazić, rzekła po prostu:

— Zrobię, o co mnie prosisz, ale wiesz, że nie mam własnego konia a dziwne będzie, jeśli wezmę jednego z waszej stajni.

— Stajenny przyprowadzi ci konia wieczorem, późno, żeby stryj się nie dowiedział — odparła Marilyn.

— Z radością zabiorę go na przejażdżkę — uśmiechnęła się Hermia.

Popatrzyła na kuzynkę, a w jej oczach dostrzegła wyraz, którego nigdy przedtem nie widziała.

— Nie ma powodu, abyś długo zostawała z markizem — ostro pouczyła ją Marilyn. — Poczekaj, aż zniknę wam z oczu, a potem pokaż mu drogę do pałacu i przyłącz się do mnie.

Dobrze.

— Poza tym nie musisz stroić się jak lalka tylko dlatego, że masz spotkać dżentelmena, jakiego nie zobaczysz w Little Brookefield!

— Nie... oczywiście że nie — odparła Hermia.

— Gdybym mogła zaufać komuś innemu, nigdy nie prosiłabym cię o to.

— Wstydz się tak mówić!

— Nic na to nie poradzę. Jesteś zbyt ładna i dlatego, gdy zrozumiałam, że choćbym była świetnie ubrana, ty zawsze będziesz wyglądać lepiej ode mnie, przestałam cię lubić.

Hermia uczyniła dłońmi drobny gest.

— Kiedy byłyśmy małe, spędzałyśmy ze sobą bardzo szczęśliwe chwile. Ja tęsknię za nimi, Marilyn... bardzo tęsknię!

— Jeżeli przymilasz się, chcąc uzyskać zaproszenie na przyjęcia do pałacu, to wiedz, że teraz, gdy jestem już dorosła, nie potrzebuję ciebie! Widziałam męskie spojrzenia rzucane w twoją stronę i nie myśl, że jestem na tyle głupia, żeby sprowadzać sobie konkurentkę.

— Nic nie poradzę, że tak wyglądam. Lecz ty, Marilyn, też jesteś piękna i na pewno potrafisz usidlić markiza.

— Takie mam plany.

Hermia milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

— Nie wierzę, by miłość aż w takim stopniu zależała od wyglądu. Moja mama mówi, że piękna twarz to tylko dobry początek! Myślę, że gdy ludzie zakochują się w sobie, w grę wchodzi dużo więcej czynników niż tylko wygląd zewnętrzny obiektu naszych westchnień!

— Jeśli zamierzasz wygłosić wykład na temat dobroci serca, wrażliwej natury i miłości do ludzi i zwierząt — odcięła się Marilyn — to nie zamierzam słuchać!

Hermia roześmiała się, bo Marilyn powiedziała to tonem małego, rozkapryszonego dziecka, jak wtedy, gdy kłóciła się z nią w bawialni.

Marilyn zaś mówiła dalej:

— Mnie jest dobrze ze sobą. Martwię się tylko małżeństwem, bo muszę być przekonana, że wychodzę za najlepszego kawalera, jakiego mogłam znaleźć.

— Papa zawsze powtarza, że jeśli czegoś pragnie się gorąco, ze wszystkich sił, i modli się w tej intencji, zawsze się to dostanie.

Marilyn niespodziewanie parsknęła śmiechem.

— Jestem pewna, że stryj Stanton nie byłby zadowolony, wiedząc, że modłę się o zdobycie markiza i że będę zła, jeżeli moje modlitwy nie zostaną wysłuchane!

— Na pewno zostaną — upewniła ją Hermia.— Nie znam nikogo, kto wyglądałby w książęcej koronie równie pięknie jak ty.

— Dlatego zamierzam ją dostać. Zamierzam włożyć koronę i wyprawić wesele, jakiego Londyn nie oglądał od lat!

Hermii przeszło przez myśl, że będzie jedyną której Marilyn nie zaprosi na druhenę.

Kuzynka podniosła się i wyrównała fałdy sukni, której zdobienie musiało zająć komuś wiele czasu.

— Tylko nie zepsuj mojego planu! — przestrzegła. — Dotrzemy do Bluebell Wood mniej więcej za dwadzieścia ósma. Mogę znaleźć niejednego pretekst, by tam się zatrzymać, ale nie każ nam czekać zbyt długo.

— Obiecuję — przyrzekła Hermia. — Tylko nie zapomnij o koniu. Jak przybędę pieszo, ostatnio nogi są moim jedynym środkiem transportu, nie wyrze to odpowiedniego wrażenia.

— Rozumiem twoją intencję, winisz mnie za to, że nie wolno ci korzystać z koni mojego papy. Szczerze mówiąc, Hermio, jeździsz zbyt dobrze i mdło mi się robi, gdy parobcy i wszyscy naokoło powtarzają że powinnam cię naśladować.

Hermia nie potrafiła odpowiedzieć. Zapadła cisza. Marilyn podeszła do drzwi.

— Bądź punktualnie — powiedziała, wychodząc na korytarz — a ja ci się odwdzięczę wysyłając obiecane ubrania.

Hermia miała ochotę powiedzieć, że może je sobie zatrzymać. Zmusiła się jednak, by delikatnym, pozbawionym sarkazmu głosem, odrzec:

— Marilyn, kochanie, to bardzo uprzejmie z twojej strony i zarówno ja, jak i mama będziemy ci niezmiernie wdzięczne.

Wyszła z kuzynką na zewnątrz, przed głównym wejściem czekał elegancki, otwarty powóz z woźnicą i służącym na koźle. Ujrzawszy Hermie podnieśli dłonie do kapeluszy ozdobionych kokardami i uśmiechnęli się do niej. Woźnicę znała od najmłodszych lat, a służący pochodził ze wsi.

Zeskoczył, by otworzyć przed Marilyn drzwiczki powozu. Kiedy usiadła, delikatnie okrył jej nogi cienkim pledem. Potem wdrapał się z powrotem na koziół i konie ruszyły, Marilyn uniosła urękawiczoną dłoń w wytwornym geście pożegnania. Piękny kapelusz kuzynki mignął Hermii przed oczami ostatni raz, gdy powóz mijał bramę, która rozpaczliwie domagała się odnowienia.

Hermia wróciła do domu, myśląc ciągle, że śni. Trudno uwierzyć, że dorosła osoba poprosiła ją o udział w czymś, co wydawało się śmieszną dziecinną zabawą.

Rozumiała, jakim torem biegły myśli Marilyn. Ukuła tak z pozoru zagmatwaną intrygę, żeby zainteresować swoją osobą markiza Deverille, ale Hermia miała wątpliwości, czy plan się powiedzie. Wielka miłość, której mogła oczekiwać od ubiegającego się o jej rękę mężczyzny, nie powinna być następstwem tak sztucznie wyreżyserowanego oszustwa.

Hermie dręczyła myśl, że jeśli markiz ma choć odrobinę rozumu i intuicji, przypomni sobie, co poprzedniego dnia mówił o swojej matce.

Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że dwa dni później Marilyn wzywana jest do umierającej? Ona z pewnością by się zastanowiła.

Lecz jeżeli markiz jest zaślepiony urodą Marilyn, myśl, że ma charakter podobny do jego matki, może przechylić szalę zwycięstwa na jej stronę.

Hermia wzięła do ręki książkę, którą czytała przed przybyciem Marilyn. Nie otworzyła jej. Stanąwszy w oknie, podziwiała piękno rozkwitających w ogrodzie krzewów.

Niezwykle piękne, obsypane kwieciami owocowe drzewka wprowadziły ją w świat bajek, gdzie duszki drzew tańczyły w nocy pod wygwieżdżonym niebem. Kiedy ona pewnego dnia się zakocha (a modli się o to codziennie), nie zniży się do intryg i podstępów, by skłonić do oświadczeń człowieka, któremu oddała serce. Albo ją zechce, bo ujrzy w niej kobietę, którą kocha na śmierć i życie, albo się od niej odwróci. Wówczas, bez względu na swe uczucia, pozwoli mu odejść. A potem zapłacze w samotności i nikt się nigdy nie dowie, jak bardzo ten ktoś był jej bliski.

— To niskie i upokarzające osaczać mężczyznę jak dzikiego zwierza — powiedziała do siebie.

Przypomniała sobie znów nieznajomego o twarzy diabła, który ją pocałował i wcisnął do ręki gwineę.

Pomyślała, że ten pocałunek różnił się bardzo od tych wymarzonych w dziewczęcych snach.

Była pewna, że kiedyś, gdy otrzyma następne, już nie będzie rozczarowana.

## Rozdział trzeci

Hermia wstała bardzo wcześnie i ubrała się we własnoręcznie uszyty strój do konnej jazdy. Pomna zaleceń Marilyn, postanowiła nie wkładać kapelusza i nie poświęcać więcej uwagi swojej toalecie. Jeśli ma udawać, że wyjechała w pośpiechu na poszukiwanie kuzynki, musi wybiec z domu jak stoi. W oczach markiza, jeśli w ogóle zauważy jej obecność, i tak będzie wyglądać prowincjonalnie i, oczywiście, nie tak pięknie jak damy, z którymi zwykł wybierać się na spacer.

Nagle nieprzyjemnie uderzyła ją myśl, że rodzice nie pochwaliliby kłamstwa nawet popełnionego dla dobra kuzynki.

Ale Marilyn pierwszy raz od bardzo dawna poprosiła ją o przysługę, więc powinna jej pomóc, i pomodlić się, aby w szczęściu stała się bardziej uprzejma dla wszystkich.

Marilyn w ostatnich latach bardzo się zmieniła. Stawała się coraz bardziej podobna do hrabiny, która zawsze chowała w zanadrzu jakąś cierpką uwagę i spoglądała na większość ludzi jak na śmieci walające się pod stopami.

Było kilka minut po szóstej, gdy Hermia, gotowa do wyjścia, powoli, ostrożnie, by nikt jej nie usłyszał, zeszła po schodach. Postanowiła nie słuchać Marilyn i zamiast jechać prosto do Bluebell Wood, urządzić sobie rozkoszną przejażdżkę. Taka sposobność nieprędko może się powtórzyć.

Gdy dotarła do stajni, okazało się, że Marilyn dotrzymała słowa. Wczoraj wieczorem nie zauważony przez nikogo parobek wprowadził konia do jednego z wielu pustych boksów. Poprzedni pastor musiał być bogatszy niż ojciec, bo rozbudował starą stajnię, robiąc miejsce dla ponad tuzina koni. Teraz stał tu tylko nowy roczniak ojca, ale nie był jeszcze przyuczony do chodzenia pod siodłem. Uczono go na razie chodzić tylko w dwu-kółce, którą obwoził pastora po parafii, i w starym [ niemodnym powozie, w którym jeździła żona pastora wraz z jego córką. Kasztan Rufus, bo tak go nazwali, doskonale nadawał się do tej pracy, ale , nie wytrzymał porównania z koniem stojącym w sąsiednim boksie.

Na widok rumaka Hermii mocniej zabiło serce, przez następną godzinę będzie się upajać dawno nie zaznanym szczęściem. Poznała konia, którego kiedyś dosiadała, pamiętała, że nazywa się Bracken. Poklepała go i sięgnęła po dawne swoje siodło wiszące ciągle na ścianie. Właśnie ściągала popręgi, gdy do stajni wszedł starzec, który opiekował się Rufusem i pracował w ich ogromnym, zaniedbanym ogrodzie.

— Chcesz jechać, panienko Hermio? — zapytał. — Tego konia przysłali chyba dla wielebnego.

— Nie, Jake, dziś ja na nim pojedę — odparła Hermia — a jeśli zobaczysz papę, nie mów mu, że mnie widziałeś, bo to tajemnica.

Jake rozważał przez chwilę jej słowa, zanim powiedział:

— Będę milczał jak grób, panienko. Mam nadzieję, że miło panienka spędzi czas.

— O tak, Jake! Dawno nie miałam okazji dosiadać tak cudownego konia.

Hermia wyprowadziła Brackena ze stajni, a Jake przytrzymał go za uzdę, gdy wkładała stopę w strzemień. Mogła wskoczyć na siodło i bez pomocy, ale ze względu na Marilyn chciała ułożyć starannie spódnicę, chociaż i tak kuzynka będzie niezadowolona.

Sadowiąc się w siodle, uśmiechnęła się do Jake'a i powiedziała:

— Nikomu ani słowa, aż do mojego powrotu!

— Będę trzymał język za zębami! — przyrzekł. Hermia wjechała do parku i skierowała się w przeciwną stronę do Bluebell Wood, minęła las koło plebanii, zaznaczony na mapach jako Brook Wood, ale wszystkim we wsi znany jako Czarczi Las, miejsce diabelskich hulank.

Tego ranka las nie zaprzętał uwagi Hermii, bo pragnęła jedynie, by jej koń galopował tak lekko, jak zdoła.

Po przeciwnej stronie Czarciego Lasu rozpościerał się płaski, równy teren. Kiedyś miała nadzieję, że stryj zamieni go w miniaturowy tor wyścigowy, podobny do tych, jakie budowali w swych posiadłościach inni właściciele koni wyścigowych. Niestety stryj odmówił, twierdząc, że to nudne odwiedzać codziennie to samo miejsce.

— Skoro posiadam dziesięć tysięcy akrów ziemi, mam mnóstwo miejsca i mogę jeździć, gdzie mi się podoba — wyjaśnił. — I służy to tak moim koniom, jak i mnie.

Hermia ujrawszy ciągnącą się przez ponad milę murawę, odetchnęła głęboko i popuściła koniowi cugli. Gdy po szaleńczym galopie przeszła w kłus, czuła, że za taką cenę z radością wyświadczy Marilyn każdą przysługę.

Jechała przed siebie, zwiedzając rozległe dobra swojego stryja i oglądając okolicę, której nie widziała od dzieciństwa.

Lecz czas płynął. Wiedziała, że nie może się spóźnić, więc zawróciła Brackena do Czarciego Lasu, a stamtąd przez park do miejsca, gdzie Marilyn miała spacerować z markizem.

Z powodu licznych zajęczych nor i nisko rosnących gałęzi musiała bardzo zwolnić tempo. Słońce wschodziło coraz wyżej, zaczynał się upał. Hermia była

zadowolona, że włożyła białą muślinową bluzkę, chociaż stara i połataną a nie żakiet od strój u do konnej jazdy. Jeśli markiz w ogóle ją zauważy, z pewnością uwierzy, że wybiegła po kuzynkę wprost z sypialni umierającej.

Za chwilę odegra przeznaczoną jej przez Marilyn rolę, powtarzała więc w pamięci swą kwestię. Jeżeli powie ją nagłym tonem, z odcieniem szczerości w głosie, historia może wydać się wiarygodna.

Wjechała między drzewa i powoli podążała ścieżką prowadzącą do samego serca lasu. Niebieskie dzwonki i pierwiosnki już zwiędły i poszycie wyrosło znacznie bujniej niż zwykle na wiosnę. Od czasu do czasu oczom Hermii ukazywały się rosnące pod drzewami dzikie orchidee nazywane „Lady's Slippers” i małe grzybki, które, w co zawsze wierzyła, wyrastały w miejscu, gdzie zeszłej nocy tańczyły wróżki.

Ogarnęła ją nieprzewyciężona ochota, żeby opowiedzieć sobie bajkę o księżniczce uciekającej przed diablikami i ocalonej przez leśne nimfy. Właśnie dochodziła do kulminacyjnego punktu opowieści, gdy usłyszała głosy. Widocznie Marilyn i markiz byli już niedaleko. Odetchnęła głęboko, spięła konia i puściła się galopem, żeby sprawić wrażenie, że pędziła co koń wyskoczy. Dopiero dostrzegłszy Marilyn, pomyślała, że w przeciwieństwie do niej musi wyglądać bardzo niedbale. Miała rozwiane nad czołem włosy, zarumienione policzki i, choć o tym nie wiedziała, błyszczące radością oczy. Marilyn zaś ubrana w świetnie skrojony letni kostium do konnej jazdy z bladoniebieskiego jedwabiu, z białą wstążką we włosach, z koronkowym żabotem pod brodą i w kapeluszu przybranym cienkim jak mgiełka, opadającym na plecy welonem w identycznym kolorze co kostium, wyglądała, jakby właśnie wyszła z pokazu mody.

Odwróciła się do Hermii udając zdziwienie. Wyglądała pogodnie i pięknie i wszystko w niej było doskonale schludne i porządne.

Hermia pędziła ku niej tak szybko i zatrzymała Brackena tak gwałtownie, że koń stanął dęba.

— Hermia! — wykrzyknęła Marilyn. — Co się stało? Co ty tu robisz?

— Och, Marilyn, szukam cię wszędzie! Biedna, stara pani Burles umiera, ale powiedziała, że nie może odejść z tego świata póki nie pożegna się z tobą i nie podziękuje ci za wszystko, co dla niej uczyniłaś.

Była zdenerwowana, dlatego nie próbowała zmienić słów Marilyn. Wydało jej się, że zabrzmiały przekonywająco.

— Och, biedna pani Burles! — krzyknęła Marilyn z teatralnym gestem.— Muszę do niej pojechać!

Mówiąc to, skręciła ostro i mijając Hermie zdzieliła konia batem.

Odjechała już dość daleko i nagle, jakby coś sobie przypomniała, odwróciła głowę i zawołała:

— Wskaż jego lordowskiej mości drogę do pałacu, a potem przyjeźdź. Możesz mi być potrzebna.

Dobrze — odparła Hermia.

„Marilyn obawia się — pomyślała — że zostanę z markizem dłużej niż to konieczne i będę próbowała wkraść się w jego łaski”.

Po raz pierwszy podniosła wzrok na towarzysza Marilyn. Markiz właśnie zawrócił konia i stanął w poprzek ścieżki. Nie spodziewała się, że znajdzie się tak blisko niej. Krzyknęła głośno. Jakże była naiwna. Powinna zgadnąć, że mężczyzna, który ją pocałował i zapłacił za pomoc, był markizem Deverille. Dziś wyglądał tak samo jak wczoraj, tak w jej mniemaniu musiał wyglądać diabeł. Dostrzegła błysk lekceważenia w jego oczach i stanowczy grymas wokół ust. Spoglądała na niego, rozpaczliwie szukając odpowiednich słów.

— A więc nie jesteś mleczarką! — Powiedział takim samym jak wtedy, oschłym, zmanierowanym tonem.

Hermia czując, że się czerwieni, odparła nieswoim głosem:

— Nie... i nie... nie miał pan powodu, by tak... myśleć!

Chciała mu powiedzieć, że nie miał też prawa jej całować, ale czując się zakłopotana i upokorzona ich ponownym spotkaniem, mogła się tylko zastanawiać, w jaki sposób dać mu do zrozumienia, że źle postąpił.

— Chcesz, żebym cię przeprosił? — zapytał markiz.

Hermia z olbrzymim wysiłkiem podniosła głowę i powiedziała zuchwale:

— Za późno! Czy... czy bez kłopotu znalazł pan kowala?

— Wróciłem do domu, w którym się zatrzymałem, i zleciłem to moim służącym.

— Z pewnością chce pan tam teraz pojechać, zaraz wskażę drogę.

— Ja się nie spieszę. Ciekaw jestem, dlaczego raz udajesz mleczarkę, a kiedy indziej występujesz w roli amazonki.

— Nie udawałam mleczarki! — zaprzeczyła gwałtownie Hermia. — A nawet jeśli...

Przerwała, nie chcąc wypowiadać słów, które mogłyby uczynić tę rozmowę jeszcze trudniejszą.

— Sądziś, że nie miałem prawa cię pocałować — powoli powiedział markiz. — Przecież musisz wiedzieć, że spacerując samotnie w takim stroju, stanowisz pokusę dla każdego mężczyzny, który cię zobaczy.



— Nie dla mężczyzn, którzy mieszkają w tej okolicy — odparła — ale widocznie goście z Londynu mają inne zdanie na temat szacunku i... konwenansów.

Starła się mówić hardo, ale onieśmienie sprawiło, że jej głos brzmiał cicho i słabo, nie wywierając pożądanego efektu.

— Tak oto dostałem burę! — oznajmił markiz. Hermia wiedziała, że z niej kpi.

— Jeżeli wasza lordowska mość pojedzie jeszcze kawałek — powiedziała — pokażę drogę, która prowadzi do parku. Stamtąd bez trudu trafi pan do pałacu.

— Już powiedziałem — odparł markiz — że mam czas.

Jego koń stał w poprzek drogi, a naokoło rosły drzewa tak gęsto, że Hermia nie mogła go wyminąć. Spoglądała na markiza bezradnie zastanawiając się, co zrobić.

— A może powiesz mi, kim jesteś? — zaproponował. — I dlaczego, oprócz zbierania jajek, zajmujesz się sprowadzaniem młodych kobiet do umierających wieśniaczek?

Znów z niej drwił. Hermia pomyślała ze złością że zachowywał się odpowiednio do swego wyglądu.

— Jeśli cię to interesuje, panie — powiedziała oziębło — dowiedz się, że mój ojciec jest pastorem w Little Brookefield i gdy staruszka, która... która umiera, poprosiła mnie, bym przyprowadziła... kuzynkę Marilyn, ja... oczywiście... starałam się ją odnaleźć.

— I byłaś pewna, że będzie właśnie tutaj? Hermia wstrzymała oddech. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, Marilyn nie przewidziała tego pytania.

Po chwili milczenia, odparła:

— Jechałam do... pałacu, gdy... gdy ktoś mi powiedział, że widział was... kierujących się w tę... stronę.

Jąkała się, czując na sobie uważny wzrok markiza.

— A więc Marilyn jest twoją kuzynką? — rzekł powoli:

— Tak, już to powiedziałam — odparła. — I teraz czeka na mnie. Dlatego pozwól, panie, że wskażę ci drogę i pospieszę za nią.

— Lubisz patrzeć na śmierć? — spytał z kpina Hermia przekonana była w głębi duszy, że nie wierzy w śmierć starej pani Burles.

Nienawidziła go za to jeszcze bardziej i pragnęła czym prędzej uciec.

Wiedziała że obserwuje ją bacznie spod przymrużonych powiek. Czując przenikliwe spojrzenie jego oczu i dręczyła ją myśl, że on wie, dlaczego tak nieudolnie płacze się w swoich kłamstwach.

A może jest nazbyt przeczulona? Wobec tego, dlaczego ją prowokował? Prawie żałowała, że nie może go zabrać do wsi i zaprowadzić do pani Burles, konającej we własnym łóżku i mającej u boku anioła dobroci — Marilyn. Skoro to było niemożliwe, pozostało jej tylko milczeć. Odwróciła głowę. Nie wiedziała, że słońce, prześwitując przez gałęzie, nadało jej włosom blask, tak złoty jak gwinea, którą markiz wcisnął jej do ręki. Wciąż nie mogła zapomnieć o tamtym zdarzeniu, o tym, jak ją znieważył, i o jego dziwnie twardych i natarczywych ustach.

— Wiem, że gniewasz się na mnie. Mogę cię przeprosić za to, że wziąłem cię za mleczarkę, ale nie za to, że cię pocałowałem, bo jesteś niezwykle piękną dziewczyną — powiedział, jakby czytając w jej myślach.

— To... to było niedopuszczalne zachowanie i... nie zamierzam o tym... dyskutować!

— Domyślam się, że nikt cię wcześniej nie całował.

— Oczywiście że nie! — odparła ze złością Hermia.

Wtem, jakby porażona nieoczekiwaną myślą, zwróciła ku niemu twarz i już innym tonem powiedziała:

— Proszę, nie... nie mówić... Marilyn ani mojemu stryjowi o tym, co... zaszło. Gdyby donieśli mamie albo papie, oni byliby bardzo... źli.

W jej głosie musiała zabrzmieć wzruszająca nuta, bo markiz rzekł:

— Mam wiele wad, ale nie opowiadam nikomu o kobietach, które całowałem. Nigdy nie postąpiłbym tak niegodnie.

Zauważył, że Hermia odetchnęła z ulgą, i dodał cicho:

— Nie myśl już o tym! Ciekaw jestem, co zrobiłaś z gwineą którą ci dałem.

— Chciałam ją wyrzucić!

— Ale ją zatrzymałaś?

— Oczywiście że nie! Wrzuciłam ją w kościele do puszek dla ubogich. Gdy papa ją znajdzie, będzie mógł pomóc wielu ludziom, którzy teraz rozpaczliwie tego potrzebują

— Dlaczego teraz?

Hermia popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Przecież musi pan wiedzieć o ubóstwie, jakie zapanowało na wsiach po wojnie.

— Nie odzywał się, więc ciągnęła:

— Farmerzy przeżywają ciężki okres po marnych zbiorach w zeszłym roku i dlatego, że do kraju dociera tania żywność z kontynentu. Nie mogą zatrudnić więcej ludzi, a z wojska powróciło wielu mężczyzn, toteż panuje straszne bezrobocie.

Markiz przyjrzał się jej zaskoczony.

— Sądziłem, że skoro hrabia jest tak bogaty, w jego dobrach nie ma bezrobocia — odezwał się wreszcie marszcząc brwi.

Hermia milczała. Wiedziała, że mimo próśb ojca, stryj odmówił przyjęcia do pracy kilku młodych wieśniaków, pozostających bez środków do życia. Bracia ostro pokłócili się z tego powodu.

— Nie jestem towarzystwem dobroczynnym i im szybciej wbijesz to sobie do głowy, tym lepiej — krzyczał rozgniewany hrabia. Ojciec wrócił do domu załamany.

— Gdybym tylko mógł ich sam zatrudnić, ale nie mogę i nie wiem, jak im powiedzieć, że nie znalazłem dla nich pracy.

— Kochanie, uczyniłeś wszystko, co w twojej mocy — pocieszała matka — nikt nie zrobiłby więcej.

— Wiem, wiem — ale gdybym to ja zarządzał majątkiem, znalazłbym zajęcie nawet dla paru tuzinów ludzi.

Cały wieczór chodził smutny i dużo czasu minęło, zanim żonie udało się znów wprowadzić go w dobry nastrój.

Nagle wpadła Hermii do głowy myśl, że jeśli markiz jest tak bogaty, jak twierdzi Marilyn, może przyjąć do swych majątków dodatkowych robotników albo przekonać jej stryja, by był bardziej łaskawy. Nie zastanawiając się dłużej, tonem, którego używała w rozmowach z rodzicami, powiedziała:

— Jako właściciel ziemski, na pewno wiesz, panie, że robiąc nowe inwestycje, tworzysz miejsca pracy dla ludzi, którzy przymierają głodem albo utrzymują się z kradzieży.

— Jakie inwestycje masz na myśli?

Hermia nie miała wątpliwości, że w tych słowach kryje się kpina, ale była gotowa na wszystko, byle tylko ją zrozumiał:

— Nie znam pańskich majątków, ale na przykład tutaj, gdyby tylko stryj John chciał nas posłuchać, jest wiele drzew do ścięcia i co najmniej dwa tuziny robotników można by zatrudnić przy składowaniu.

Widziała, że markiz przysłuchuje się uważnie, więc mówiła dalej:

— Jest tu także nieczynna od czasów wojny żwirownia, którą można by uruchomić, na granicy majątku zaś znajdują się stare kamieniołomy, a przecież kamień zawsze jest potrzebny przy budowie domów.

— Widzę, że jesteś doskonale poinformowana — zauważył markiz. — Czy to są pomysły twojego ojca?

— One powinny być pomysłami wielkich obszarników, takich jak ty, panie — odrzekła Hermia.

Zaraz też, nie chcąc go drażnić, powiedziała:

— Proszę, jeśli będziesz miał okazję, porozmawiaj, panie, o tym z moim stryjem. Jestem prawie pewna, że ciebie wysłucha chętniej niż mojego papy.

— Wątpię — odparł markiz — ale jeżeli spełnię twoją prośbę, czy winy zostaną mi wybaczone?

— Uważam, że najlepiej o nich nie wspominać. A teraz pozwól, panie, że pokażę ci drogę do pałacu.

Spędziła z markizem o wiele więcej czasu niż powinna i jeśli Marilyn się dowie, będzie wściekła.

— Proszę... Muszę wracać do mojej kuzynki. Ona... ona na mnie czeka.

— Dobrze, ale najpierw powiedz, jak masz na imię?

— Hermia!

— Twój rodzice przy chrzcie musieli chyba myśleć o posłańcu bogów!

Po raz pierwszy od początku rozmowy Hermia zaśmiała się cicho.

— To niezwykle, że pan tak uważa. Większość ludzi po prostu wykrzykuje: „Cóż za dziwaczne imię!” Przypuszczali, że nazywam się Jane albo Anne, albo Sarah czy Mary.

— Dlaczego właśnie tak?

— W ich mniemaniu tylko te imiona pasują do córki pastora.

— Widocznie uważają że rozmyślania o Olimpie nie są w stylu twoich rodziców! Cóż, pozwól sobie powiedzieć, że w tej chwili wyglądasz raczej jak Persefona opuszczająca Hades, by znów przynieść światu wiosnę.

Mówił to szorstkim, sarkastycznym tonem i jego słowa nie brzmiały jak komplement, ale Hermia znowu wybuchnęła radosnym, niepowstrzymanym śmiechem.

— Dlaczego się śmiejesz? Obserwowała go, gdy się cofał, żeby ustawić swego konia obok jej wierzchowca.

Dopiero po chwili, nie zastanawiając się, że może to zabrzmieć impertynencko, odpowiedziała:

— Czy wiesz za kogo cię, panie, wzięłam wtedy, gdy mnie zostawiłeś na drodze?

— Och, rozumiem! — odparł markiz, — Doskonale, diabeł z Hadesu!

Hermia pomyślała, że Bluebell Wood nie odpowiada jej wyobrażeniom o Hadesie. Jechała przodem i zastanawiała się, co będzie, jeśli Marilyn się dowie, że tak długo rozmawiała z markizem. Na pewno będzie bardzo, bardzo zła. Gdy dotarli do ścieżki, prowadzącej do parku, Hermia zatrzymała się. Zamierzała wrócić przez Bluebell Wood, ale wiedząc, że zajmie to więcej czasu, rozmyśliła się. Postanowiła część drogi odbyć z markizem, a kiedy on skieruje się do

pałacu, ona ruszy w przeciwnym kierunku, do wioski. Na pewno nie zaproponuje jej swego towarzystwa, ale na wypadek gdyby to zrobił, musi mieć gotową jakąś wymówkę.

Ruszyła przodem i kilka minut później ujrzeli przed sobą park, a w dali pałac, olbrzymi i imponujący w słonecznym blasku.

Gdy ścieżka się skończyła, Hermia zatrzymała Brackena.

— Stąd, panie, znasz drogę.

— Tak — odparł — i winien ci jestem wdzięczność, że tak starannie wypełniłaś swoje zadanie.

Hermia pomyślała nerwowo, że zabrzmiało to dwuznacznie, czyżby dawał do zrozumienia, że nie wierzy w opowieść o umierającej?

Zaraz też zganiała się za podejrzliwość. Dlaczego właściwie miałyby jej nie wierzyć? Wgłębi duszy była przekonana, że nawet gdyby uwierzył, to i tak nie ożeniłby się z Marilyn, nie mając innych, o wiele ważniejszych powodów.

Markiz zatrzymał konia obok i przyglądał się dziewczynie z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie potrafiła odczytać. Wprawdzie patrzył na nią w sposób obraźliwy, lecz w jego wzroku, oprócz cynizmu i znudzenia, dało się zauważyć jakby cień uznania.

Nie wiedziała, skąd przyszła jej ta myśl, ale była pewna, że ma rację.

Nie poruszał się, więc po chwili Hermia powiedziała:

— Do widzenia... panie!

— Do widzenia, Hermio! Jako wcielony diabeł przepowiadam ci, że się jeszcze spotkamy.

Hermia uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach.

— Skoro nie jestem Persefona — odparła — to bardzo mało prawdopodobne, chyba że bogowie będą chcieli doręczyć ci specjalną przesyłkę, w co też wątpię.

Nie czekając na odpowiedź, spięła konia i szybko odjechała. Nie oglądała się, ale czuła na sobie wzrok markiza. Dopiero gdy dotarła do skraju ścieżki, tuż przy bramie, za którą zaczynała się droga prowadząca do wsi, odwróciła głowę. Widziała markiza z daleka, jak powoli zbliżał się do pałacu. Była zadowolona, że nie ruszył za nią.

Wjechała na piaszczystą ścieżkę wiodącą do domu. Ze smutkiem pomyślała, że nieprędko będzie miała okazję dosiąść Brackena albo innego, podobnego mu konia. To był niezwykle rano, zupełnie różny od monotonii innych poranków, gdy miesiącami nie zdarzało się nic niezwykłego.

Odprowadziła Brackena do stajni. Jake zabrał uzdę i siodło.

— Jeśli zostawią Brackena do wieczora — powiedziała — wezmę go po południu na drugi spacer.

— Dobrze, panienko Hermio. To okropnie niesprawiedliwe, że ktoś, kto jeździ tak dobrze jak panienka, nie ma własnego konia.

— Za to dzisiaj bawiłam się doskonale. Niechętnie pożegnała się z Brackeniem i wyszła ze stajni. Po drodze do domu zastanawiała się, co powinna powiedzieć rodzicom. Gdy weszła do jadalni, siedzieli już przy śniadaniu.

— Niania mówiła że wyjechałaś rano na koniu, którego przyprowadzono z pałacu. Na pewno musiało się stać coś niezwykłego — zainteresowała się matka.

— Bardzo niezwykłego — przytaknęła Hermia, całując rodziców. — Marilyn poprosiła mnie o przysługę.

— Marilyn? — zdziwiła się pani Brooke. — Przecież od miesiący nie odzywała się do ciebie!

Hermia usiadła i zdjęła z jajka małą wełnianą czapeczką. Zamiast odpowiedzieć matce, zwróciła się do ojca:

— Papo, czy słyszałeś o markizie Deverille?

— O markizie Deverille? Oczywiście! „Diabeł Deverille” jest słynny w sportowym świecie.

Hermia popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Jak go nazwałeś? — spytała.

— Tak krzyczą widzowie na trybunach, gdy jego koń zwycięża w wyścigach — wyjaśnił ojciec. — Zawsze powtarza, że ma diabelskie szczęście. Nic więc dziwnego, że bywalcy torów wyścigowych nazywają go „Diabłem Deverille”.

— Dokładnie tak wygląda!

— Słyszałem, że zatrzymał się w pałacu. Kiedy go spotkałaś?

Hermia zrozumiała, że popełniła błąd.

— Jeździł z Marilyn...

— I ona poprosiła cię, abyś się do nich przyłączyła? — z zaskoczeniem zapytała pani Brooke. — Nie rozumiem, dlaczego to zrobiła?!

Hermia nie mogła wytłumaczyć, więc powiedziała:

— Mamo, Marilyn przyjechała tu wczoraj i była bardzo miła. Poprosiła mnie, abym spotkała się z nią dzisiejszego ranka w Bluebell Wood. Markiz jej towarzyszył.

— Zdziwiająca! Może teraz, kochanie, zaproszą cię do pałacu:

Hermia wiedziała, że to bardzo mało prawdopodobne, ale odpowiedziała:

— Mam nadzieję, mamo — i zajęła się jedzeniem jajka.

— Ten Deverille to przedziwny typ! — rzekł ojciec tonem, który świadczył, że pochłonęły go własne rozważania. — Jest wyjątkowym jeźdźcem. Najlepszy sportowiec z FourIn-Hand Club, a słyszałem też, że jest niepokonany w walce wręcz. Mimo to wygląda, jakby więcej zgubił, niż znalazł.

— To znaczy, papo, jakby się potwornie nudził?

— Właśnie! — odparł jej ojciec. — Znudzony cynik. Był bohaterem wielu historyjek obrazkowych i zawsze przedstawiano go jako diabła, który akurat nie miał szczęścia!

Roześmiał się.

— To oczywiście nie jest prawda. Deverille jest bogaty, poważany i, jak mawialiśmy w Oxfordzie, „mierzy wysoko"! Więc nie ma powodu do smutku.

— Jednak musi istnieć jakaś przyczyna — odparła pani Brooke.

— Słyszałem, jak John opowiadał, że w młodości przeżył miłosny zawód i dlatego jest taki zgorzkniały. Przypuszczam, że skoro zaproszono go do pałacu, hrabina postanowiła wyswatać go z Marilyn.

— Markiz nie sprawiał wrażenia człowieka, który chce ją uszczęśliwić — wtrąciła Hermia.

Z twarzy ojca wyczytała, że tak jak i ona sądzi, iż hrabinie zależy tylko na pozycji Marilyn jako żony markiza. Ani ona, ani hrabia nie troszczyli się o to, czy córka znajdzie w nim mężczyznę, którego pokocha i który ją pokocha.

Lecz na ten temat ojciec nie wypowiadał się głośno, nawet jeśli tak myślał.

Matka westchnęła cicho i powiedziała:

— Może, jeśli Marilyn wyjdzie za mąż, twój brat znowu pozwoli Hermii na konne spacerunki. Wiesz, jak jej tego brakuje.

— Cudowna była dzisiejsza przejażdżka — rozmarzyła się Hermia. — Wybrałam się daleko za Czarci Las, oczywiście przed spotkaniem z Marilyn.

— Cieszę się, że dobrze się bawiłaś, za to jutro nie będziesz się mogła ruszyć — zaśmiał się ojciec.

— Nawet jeśli tak będzie, mama mnie wyleczy. Wymyśliła nową maść na zesztywniałe stawy, o którą proszą wszyscy we wsi.

— I to w takich ilościach, że musiałabym pracować dzień i noc, żeby nastarczyć — powiedziała pani Brooke. — Czy pani Burles była zadowolona z mikstury, którą jej zaniostaś?

— Myślę, że tak, mamó. Tylko z wiekiem staje się coraz bardziej zrzędlawa. Cały czas narzekała na swojego syna Bena. Najwyraźniej jest wobec niego bardzo wymagająca.

— Ten chłopak to wzór uczynności — wykrzyknął pastor — ale ma nie po kolei w głowie. Często chodzi głodny, a nikt nie da mu pracy, gdy wielu starszych i silniejszych mężczyzn siedzi w wiosce z założonymi rękami.

Hermia żałowała, że markiz nie mógł tego usłyszeć, może by pojął, co to znaczy dla silnego, zdrowego mężczyzny zostać bez pracy, i to nie z własnej winy.

— Kłopot z Benem polega na tym — miękko odezwała się pani Brooke — że on nigdy naprawdę nie dorósł i ciągle wdaje się w jakieś nieczyste sprawy. To oczywiście, bardzo martwi jego matkę.

— Jest bardzo stara — zauważyła Hermia. — I zamiast lekarstwa na kaszel, potrzebuje eliksiru młodości!

Pani Brooke nie śmiała się.

— Gdybym tylko mogła go znaleźć! Potrzebuje go co najmniej połowa mieszkańców wsi, chociaż jestem pewna, że gdyby mieli dosyć jedzenia, w ciągu kilku dni odmłodzieliby o dwadzieścia lat.

— Przedwczoraj rozmawiałem o tym z Johnem — powiedział pastor, wstając zza stołu — ale, jak zwykle, nie chciał mnie słuchać!

W jego głosie brzmiało rozczarowanie i zniechęcenie. Żona przyglądała mu się z niepokojem, gdy wychodził z jadalni. Kiedy zostały same, rzekła do córki:

— Wiem, kochanie, co zrobić! Przygotuję buteleczkę mojego syropu i zanieiesz ją pani Burles. Może wtedy poczuje się lepiej.

— Była bardzo przygnębiona i wiem, że będzie zachwycona, cokolwiek jej dasz, bo wierzy, że każda łyżeczka twojego leku ma w sobie magiczną, siłę. Innymi słowy, wierzy, że jesteś czarownicą!

Pani Brooke roześmiała się.

— Uważaj, mamó— zażartowała Hermia — żeby nie zaczęli się ciebie bać, tak jak boją się tej biednej, starej kobiety, która mieszkała w Czarcim Lesie.

— Ty chyba jesteś za młodą by pamiętać panią Wombatt? — zdziwiła się pani Brooke.

— Nie pamiętam, bym kiedykolwiek ją widziała, ale we wsi wierzą że wciąż straszy w lesie i że szatan hula z jej duchem, tak jak kiedyś hulał z nią gdy żyła!

— Nigdy nie słyszałam podobnych bzdur! Biedna staruszka dożyła chyba dziewięćdziesięciu lat i była za stara, by hulać z kimkolwiek, choćby i z szatanem!

— Brzmiało to bardzo prawdziwie, gdy opowiadali, jak przeklinała ludzi, którzy potem znikali w tajemniczych okolicznościach, o strasznych wypadkach, które się im przytrafiały, i o tym, że gdy rzuciła na kogoś swój magiczny urok, wszystko szło mu jak z płatka.



— Chciałabym, żeby i na ciebie rzuciła taki urok — uśmiechnęła się pani Brooke. — Bo, kochanie, pragnę ze wszystkich sił, abyś miała czarodziejskiego konia kilka czarodziejskich sukien i wspaniałą, czarodziejski bal, podczas którego wszyscy zachwycaliby się tobą!

— Dziękuję, mamó, ja też bym tego chciała — odparła Hermia. — Może, gdy będę wierzyć w historie, w których to wszystko się dzieje, bajki pewnego dnia staną się prawdą.

Śmiejąc się zebrała puste nakrycia i wyszła do kuchni, nie widząc pełnego cierpienia spojrzenia matki.

Pani Brooke wiedziała, że chociaż jej córka była urocza i słodka i zasłużyła na lepszy los, czeka ją bardzo ubogie życie w Little Brookefield.

— To niesprawiedliwe! — powiedziała do siebie.

A ponieważ nie mogła znieść dłuższej rozłąki ze swym ukochanym mężem, wybiegła z jadalni do małego gabinetu, gdzie pastor przygotowywał się do niedzielnego kazania.

## Rozdział czwarty

Wziąwszy przygotowany przez matkę syrop, Hermia udała się na skraj wioski, do domku pani Burles.

Szła powoli i niechętnie, pani Burles bowiem była jedną z bardziej męczących osób, jakie знаła. Rozbiegane myśli staruszki błędziły daleko i chociaż mówiła chętnie i dużo, jej słowa najczęściej nie zawierały sensu.

Po lunchu Hermia nie miała czasu, żeby nacieszyć się Brackeniem. Dopiero gdy skończyła domowe zajęcia pobiegła do stajni. Ku jej rozpaczy koń zniknął. Po chwili uczucie rozczarowania ustąpiło miejsca złości, że pozbawiono ją przyjemności, której tak bardzo pragnęła. Pewnie Marilyn, posyłając stajennego Brackena, chciała ją ukarać za to, że tak długo rozmawiała z markizem. Ale Hermia nie żałowała tego. Mimo całej niechęci do markiza, musiała przyznać, że rozmowa z nim była niezwykle interesująca. To prawda, że zachowywał się cynicznie, w jej mniemaniu niedopuszczalnie, ale niewątpliwie był inteligentny i, bez wątpienia, najprzystojniejszy z mężczyzn, których kiedykolwiek widziała albo potrafiła sobie wyobrazić. Sposób, w jaki się poruszał i siedział w siodle, oślepiający niemal połysk jego eleganckich butów — te szczegóły w przyszłości ubarwią jej fantastyczne historie, nawet jeśli obsadzi go w roli złoczyńcy.

Zbliżała się już do domku pani Burles, gdy ujrzała Bena wybiegającego z niskich drzwi. Spojrzał na drogę. Hermia była pewna, że ją zauważył, bo pobiegł w przeciwnym kierunku, kuląc się, jakby próbował coś ukryć.

„Pewnie znowu wpadnie w kłopoty” — pomyślała mając w pamięci słowa ojca.

Stała przed drzwiami i zapukała głośno, gdyż pani Burles miała przytępiony słuch. Minęło sporo czasu, zanim staruszka podniosła się z fotela, w którym siadywała przy kominku, i podeszła do drzwi.

Uchyliła je i wysunęła głowę, by sprawdzić, kto za nimi stoi:

— Wejdz, panienko, wejdz! — powiedziała. — Miałam nadzieję, że będziesz pamiętała, że mnie boli, naprawdę boli!

Hermia weszła, myśląc, że dom wymaga wielu napraw. Jej wuj był to winien swym dzierżawcom, nawet jeśli płacili tylko szylinga czy dwa tygodniowo. Ojciec nieraz mówił bratu o złym stanie budynków. Wiele z tych domów, które zajmują starzy ludzie, przecieka, gdy pada deszcz. Lecz hrabia odpowiadał, że nie ma pieniędzy na wyrzucenie, zwłaszcza że starzy ludzie mają synów, którzy z pewnością sami potrafiliby dokonać napraw. Mimo to w pokoju było czysto.

Gdy pani Burles usiadła w fotelu, Hermia zajęła miejsce na najbliższym krześle, tak by staruszka mogła ją usłyszeć.

— Przyniosłam syrop, który sprawi, że poczuje się pani lepiej — rzekła. — Proszę wziąć jedną łyżkę rano, jedną po obiedzie i jedną przed snem.

— To ładnie z twojej strony, panienko, bardzo ładnie — ucieszyła się pani Burles. — Potrzebuję czegoś nie tylko dla ciała, ale i dla rozumu.

— Po tym syropie szybko poczuje pani ulgę — pogodnie odparła Hermia.

— Martwię się, cały czas się martwię. Ben nie powinien tego robić, nie powinien!

— Czego? — zaciekawiła się Hermia.

— Rzuci na niego klątwę, na pewno rzuci — mówiła pani Burles, jakby nie słysząc słów Hermii. — Tyle razy go ostrzegałam i ostrzegałam, żeby nie chodził obok chaty tej wiedzmy, ale on nigdy mnie nie słucha!

Hermia pojęła, że mówi o starej pani Wombatt, z Czarciego Lasu, która, jak wierzyli wieśniacy, nawiedza tę okolicę. Widząc strach czający się w oczach staruszki, pochyliła się i położyła dłoń na jej ręce, mówiąc cicho:

— Pani Burles, proszę mnie posłuchać, pani Wombatt nie żyje. Ona umarła bardzo dawno temu i nie może teraz nikogo skrzywdzić, więc niepotrzebnie się pani martwi o Bena.

— Przeklnie go! — powtórzyła stanowczo pani Burles. — Nie wolno mu tam chodzić, ostrzegałam go. Mówią, że widziano ją z szatanem.

Hermia zrozumiała, że nie ma sensu się sprzeciwiać. Staruszka nigdy nie uwierzy, że pani Wombatt z Czarciego Lasu nie żyje ani w to, że jej czary, polegające na gotowaniu ziół, przepowiadaniu przyszłości wiejskim dziewczętom i sporządzaniu środków na reumatyzm i kolki, umarły razem z nią.

Hermia podeszła do stołu i naląła na łyżkę trochę syropu.

— Proszę to połknąć — zwróciła się do pani Burles — a wkrótce poczuje się pani lepiej. To lekarstwo pomoże pani zasnąć.

Wiedziała, że matka dodała do innych ziół rumianku i waleriany. Ludziom młodym i silnym nigdy nie podawała środków uspokajających, ale tu chodziło o osobę starszą z zaburzeniem pamięci.

Staruszka połknęła wszystko i rzekła:

— Dobrze! Daj mi więcej!

— Nie, na razie wystarczy, proszę wziąć następną porcję przed snem.

Postawiła buteleczkę na środku stołu i pożegnała się: i

— Do widzenia, pani Burles. Podziękuję mojej mamie w pani imieniu.

Mówiąc to, skierowała się w stronę drzwi, a gdy stanęła w progu, staruszka zawołała:

— Nie powiesz Benowi, że z tobą rozmawiałam? On powiedział mi to w sekrecie.

— Nie, oczywiście, że nie — uspokoiła ją Hermia. — Nic nie widziałam, nic nie słyszałam. Mam nadzieję, że niedługo wróci i zajmie się panią.

Wydawało się, że pani Burles jej nie rozumie. Hermia, otwierając drzwi, usłyszała, jak mamrocze do siebie:

— Nie powinien był tam iść! Mówiłam mu, powtarzałam: „przeklnie cię, oto co zrobi!”

„Biedną z każdym dniem coraz bardziej traci rozum” — pomyślała Hermia, idąc przez wieś.

Słońce nie grzało już tak mocno jak w dzień. Hermia zapragnęła pogalopować jak kiedyś przez pola i lasy — frunąc niemal w powietrzu, jak ptak lecący do swego gniazda, i patrzeć z zachwytem, jak ostatnie promienie słońca rozpalają konary drzew barwami mosiądzu, a tajemnicze cienie stają się coraz dłuższe, gdy zmierzch sprowadza na ziemię noc.

Teraz, gdy nie mam konia to już nie to samo — pomyślała — ale i tak lepiej chodzić, niż siedzieć w domu.

W tyle miejsc nie mogła dotrzeć i tylko oczyma wyobraźni przywoływała w pamięci ich niezapomniane piękno.

Gdy zbliżała się do domu, zaczęła się znów zastanawiać nad swą dziwną rozmową z markizem. Mógł być cyniczny i sarkastyczny, ale odnosił sukcesy na torze wyścigowym zwyciężając w najważniejszych gonitwach.

— To znaczy, że w przyszłym tygodniu będzie na Royal Ascot — powiedziała do siebie Hermia, pamiętając, że zawody rozpoczynają się w poniedziałek.

Ojciec interesował się wyścigami i zawsze czytał rubrykę wiadomości z wyścigów w „The Morning Post”, jedynej gazecie docierającej na plebanię i szczerze mówiąc, jedynej, na jaką ich było stać. Gdy Peter był w domu, obaj toczyli długie dyskusje o zaletach koni wyścigowych, które opisywano.

Pewnego dnia Peter wybrał się z kilkoma przyjaciółmi na derby. Po powrocie dokładnie opowiedział ojcu, co się tam wydarzyło i jakie to było pasjonujące.

— Wygrałem pięć funtów! — chełpił się.

— Mogłeś je również stracić — zauważył ojciec.

— Wiem, papo, i bardzo się bałem, że tak będzie — wyznał szczerze Peter.  
— Ale wygrałem tyle, że wystarczyło na wszystkie moje wydatki w tym tygodniu i nawet coś tam jeszcze zostało.

Ojciec uśmiechnął się, jakby rozumiał podniecenie Petera. Hermia była pewna, że ojciec chciałby znaleźć się w Epsom razem z Peterem, i zastanawiała się, czy brat zdoła kiedyś pojechać do Ascot. Pomyślała, że musi mu być bardzo przykro, gdy widzi, że jego zamożni koledzy mogą uczęszczać na wyścigi, wyjechać z Oxfordu na cały dzień albo zatrzymać się na noc w domu jakiegoś bogatego znajomego, a jeśli nie otrzymaliby zaproszenia przenocować w hotelu, który był wprost niewiarygodnie drogi. Mimo że mu współczuła, uważała, że Peter i tak prowadzi stokroć ciekawsze życie niż ona.

Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie miała okazję być na wyścigach lub na balu urządzanym po każdej ważniejszej gonitwie, albo po prostu pojechać do Londynu obejrzeć sklepy.

Roześmiała się. Te przyjemności były dla niej tak nieosiągalne, że nie warto zaprzętać sobie nimi głowy.

— Gdyby życzenia były jak konie, wszyscy żebracy jeździliby konno — powiedziała do siebie sentencjonalnie i wbiegła na plebanię, by opowiedzieć matce o pani Burles.

Już od kwadransa wszyscy czekali na pastora, niania zaczęła narzekać, że jedzenie wystygnie, gdy wrócił do domu. Hermia usłyszawszy, jak stary Jake odprowadza powóz ojca do stajni, otworzyła wejściowe drzwi. Matka wybiegła z salonu, wołając:

— Kochanie, tak się bałam! Co cię zatrzymało tak długo?

Pastor czule ją pocałował.

— Prosiłem, żebyś się nie martwiła. Gdyby nie zatrzymano mnie we wsi, dawno już byłbym w domu.

— We wsi?! — zawołała Hermia. — A co się stało we wsi?

Czując, że nie powinien kazać niani czekać ani chwili dłużej, pastor wszedł do jadalni i zajął swoje miejsce u szczytu stołu.

— Nie zgadniecie, co się stało — powiedział — w gruncie rzeczy sam nie mogę w to uwierzyć.

— O co chodzi?

— Markiz Deverille zniknął!

Hermii wydawało się, że źle zrozumiała.

— Co to znaczy „zniknął”?

— Dokładnie to, co powiedziałem — odparł pastor. — We wsi aż huczy od tej nowiny. Wszędzie go szukają.

Hermia otworzyła szeroko oczy, a matka wykrzyknęła:

— Opowiedz nam wszystko od początku. Próbuję zrozumieć to, co mówisz.

— Sam ledwie zdołałem to pojąć! — odparł pastor. — Właśnie wracałem do domu, gdy zatrzymano mnie na drodze. Otoczyło mnie z pół tuzina ludzi, a wszyscy gadali jak nakręceni. Uśmiechnął się i mówił dalej:

— Zanim zdołałem ich przekonać, by nie mówili naraz, już pół wsi stało przy moim powozie.

Przerwał na moment, by podać żonie i córce zupę selerową, którą bardzo lubił, a którą niania postawiła przed nim w wazie.

Napełnił i własny talerz, a gdy podniósł łyżkę do ust, Hermia powiedziała błagalnym tonem:

— Proszę, mów dalej. Musimy wiedzieć, co się stało.

— Tak, oczywiście — odparł pastor. — Zaraz po lunchu w pałacu, John postanowił zabrać markiza na pole, leżące w północnej stronie parku, i pokazać mu hodowlę jednoroczniaków.

Hermia wiedziała, gdzie to jest, ale nie przerywała.

— Obaj panowie najwyraźniej się nie spieszyli, rozmawiając sobie po drodze, bo dogonił ich parobek i powiedział, że przyjechał jakiś człowiek, który musi zobaczyć się z hrabią a nie ma czasu czekać.

Pastor przerwał, przełknął zupę i mówił dalej:

— John był na pewno zły, że musi przerwać wycieczkę, ale ponieważ nie oddalili się bardzo, poprosił markiza, by pojechał dalej sam, i zawrócił.

— I kto na niego czekał? — zapytała pani Brooke.

— Tego we wsi chyba nie wiedzieli — odparł : pastor — ale mówili, że już po kilku minutach John wyjechał z pałacu, chcąc dogonić markiza.

— I co... co dalej? — zapytała z zapartym tchem Hermia.

— Nie mógł go znaleźć!

— Go to znaczy „nie mógł znaleźć”? — zdziwiła się pani Brooke.

— Dokładnie to, co powiedziałem — odparł mąż. — Nigdzie nie było śladu markiza, John wrócił do stajni, próbując zrozumieć, co się stało.

Zrobił dramatyczną przerwę, jakby bawiło go trzymanie widowni w napięciu, po czym zjadł kolejną łyżkę zupy.

— Właśnie gdy John wszedł do stajni, ku jego przerażeniu przygalopował koń markiza, z wiszącymi luźno strzemionami i pustym siodłem na grzbiecie.

Hermia krzyknęła.

— Myślałam, że jest dobrym jeźdźcem!

— Bo jest! — odparł pastor. — Słyszałem, jak markiz chwalił się, że jego koń nigdy go nie zrzuci!

— Ale tym razem musiał go zrzucić! — zawołała pani Brooke.

— Tak, przypuszczam, że John i inni też tak sądzą — powiedział pastor.

— I co się stało dalej? — niecierpliwiła się Hermia.

— Stryj oczywiście polecił parobkom wziąć konie, i jak najszybciej odnaleźć markiza.

Zapadła cisza, którą przerwała dopiero pani Brooke:

— Chcesz przez to powiedzieć, że go nie odnaleziono?

— Wpadł jak kamień w wodę! — odparł mąż.

— To niemożliwe! — wykrzyknęła Hermia. — Musi być niedaleko!

Niania zabrała pustą wazę i wróciła z drugim daniem, a wtedy pastor rzekł:

— Po obiedzie pojedę do pałacu dowiedzieć się, czy mógłbym im pomóc. Według słów Wade'a wszyscy na próżno szukali markiza przez całe popołudnie i wieczór.

Obie — Hermia i jej matka — wiedziały, że Wade to zarządca, który od lat służył w pałacu, nieczęsto się odzywał, ale gdy już coś powiedział, można było ufać jego słowom, więc skoro Wade tak twierdził, to znaczyło, że zagadka nie została rozwiązana.

— Oczywiście, kochanie, powinieneś pospieszyć im z pomocą — powiedziała pani Brooke — ale przyznaj, że to nieprawdopodobne, żeby człowiek zginął bez śladu.

— Zgadzam się, lecz Wade twierdził, że szukali go wszędzie. Szkoda, że koń markiza nie umie mówić, bo przecież musi wiedzieć, gdzie zostawił swego znakomitego pana — dodał z uśmiechem.

Hermia milczała.

Przeszło jej przez myśl, że może rzeczywiście markiz był diabłem i teraz powrócił do piekła. Jeżeli tak, oni nigdy go już nie zobaczą.

— Jedyne, co możemy zrobić — odparła pani Brooke — to szukać markiza na własną rękę.

— Cóż, na pewno nie ma go tu, na plebanii! — powiedział mąż.

Objął żonę i przytulił, mówiąc:

— Myślałem, że spędzimy razem spokojny wieczór, ale nie będę tam dłużej niż to konieczne. Chyba nie powinienem zabierać Hermii ze sobą? Prawda?

— Niech lepiej zostanie ze mną — odparła pani Brooke. Uważała, że skoro w pałacu uznano markiza za odpowiednią partię dla Marilyn, Hermia nie będzie tam pożądanym gościem.

Ojciec odjechał, a Hermia z matką usiadły w salonie, dyskutując o tym, co zaszło.

— Musiałaś rozmawiać z markizem tego ranka, gdy był z Marilyn. Jaki on jest? — powiedziała nagle pani Brooke.

— Najlepiej, mamó, opisać go w ten sposób: znudzony, cyniczny i złośliwy. Pani Brooke wyglądała na zdziwioną.

— Dlaczego jest taki?

— Przypuszczam, mamó, że zepsuło go powodzenie we wszystkim, czego się dotknie.

— Myślisz, że Marilyn jest w nim zakochana?

— Bardzo pragnie za niego wyjść, a to oczywiście odpowiada ciotce Edith.

— Masz rację — zgodziła się matka. Hermia nie musiała mówić nic więcej.

Była prawie jedenasta, kiedy wrócił ojciec. Gdy tylko wszedł na korytarz, żona i córka poderwały się z miejsc.

— Są jakieś wieści, papo? — zapytała Hermia zanim matka zdążyła się odezwać.

— Żadnych. To zupełnie niesamowite, nigdy jeszcze nie widziałem Johna tak wzburzonego.

— A Edith? — była ciekawa pani Brooke.

— Jak możesz się domyślić, nie miała dla mnie czasu. Marilyn zaś była tak zdenerwowana, że musiała się położyć.

— Muszę przyznać, że to strasznie nieprzyjemne, gdy taka rzecz przytrafia się zaproszonemu gościowi, ktokolwiek by to był — zauważyła pani Brooke.

— Domyślam się, że nic więcej nie możemy zrobić?

— Nic — odparł pastor — chyba tylko modlić się, żeby nie został zamordowany dla pieniędzy, które mógł mieć przy sobie.

Po chwili dodał:

— Nie powinienem wam tego mówić, ale John podejrzewa, że to może być sprawka Roxforda de Ville, ewentualnego spadkobiercy markiza.

— Co za dziwaczne nazwisko! — mruknęła Hermia.

Ojciec usiadł przy kominku w swoim ulubionym krześle.

— De Ville wymawia się z francuska i jest to jego rodowe nazwisko — wyjaśnił. — Zdaje się, że oni pochodzą z Normandii, skąd przybyli za czasów Wilhelma I Zdobywcy.

— I ty myślisz, że ten człowiek, Roxford de Ville, zamordował markiza? zapytała pani Brooke z niedowierzaniem.

— To byłoby zbyt oczywiste. Ale według Johna nie ulega wątpliwości, że istniała między nimi silna niechęć. Markiz wielokrotnie płacił długi de Ville'ą ale niedawno zapowiedział, że więcej tego nie robi.



— A gdyby de Ville pozbył się markiza, odziedziczyłby tytuł i majątek? — zapytała Hermia.

— Jeśliby go nie aresztowano i nie powieszono za morderstwo.

— Jako główny podejrzany, głupio by postąpił, prawda? — drażyła Hermia.

— Masz rację, skarbie — zgodził się ojciec — i dlatego nie wierzę, by markiz został zamordowany. Musiał spaść z konia, dlatego dotychczas nie udało się go odnaleźć. O świcie John wznowi poszukiwania.

Podniósł się z krzesła, mówiąc:

— Pewnie się spodziewa, iż będę im towarzyszył. Pójdę się położyć. Dziękuję wam, kochane że czekałyście na mnie.

Wszyscy weszli na schody, Hermia pocałowała serdecznie rodziców i poszła do swej sypialni.

W malutkim, ale ślicznie urządzonej sypialni znalazły się wszystkie niezwykle skarby, które zbierała w dzieciństwie. Spoglądając teraz na kilka chińskich ozdób, podarowanych jej kiedyś przez Marilyn, pomyślała ze współczuciem o swojej kuzynce.

— Na pewno strasznie się boi o człowieka, którego chciała poślubić — mruknęła.

Jednocześnie intuicja podpowiadała jej, że markiz wcale nie zamierza się żenić z Marilyn, co więcej, zdaje sobie sprawę, że dziewczyna próbuje skłonić go do oświadczeń. Nie miała pojęcia, skąd czerpie tę pewność, ale było to dla niej oczywiste.

„Biedna Marilyn — pomyślała o niej z sympatią — będzie bardzo rozczarowana, lecz niewątpliwie mnóstwo innych mężczyzn zaproponuje jej małżeństwo. Bywa przecież w Londynie i jest taka ładna. Może nie będą tak poważani ani tak bogaci jak markiz, ale będzie o wiele szczęśliwsza z człowiekiem, który nie podchodzi tak lekceważąco do życia”.

Hermia odsunęła zasłony i położywszy się do łóżka obserwowała gwiazdy i płynący po niebie księżyc.

Była pełnia — zdaniem wieśniaków pora sabatu czarownic, zlatujących się tu na swych miotłach.

Przez moment wydało jej się, że widzi sylwetkę jednej z nich odbijającą się w tarczy księżyca.

Nagle cicho krzyknęła i usiadła na łóżku. Jeśli stryj miał rację, jeśli ten obłąkany spadkobierca rzeczywiście zamordował markiza, ona wiedziała, gdzie ci, których wynajął do tak haniebnego dzieła, ukryli ciało. Nikt ze znanych jej mieszkańców wsi czy folwarku nie ośmieliłby się przeszukać domu starej pani Wombatt, stojącego w samym środku Czarciego Lasu. Chociaż staruszka

dawno zmarła i dawno została pochowana, ludzie święcie wierzyli, że jej duch wciąż nawiedza miejsce, gdzie mieszkała i w księżycowe noce ucztuje z szatanem. Nawet ktoś tak rozsądny jak zarządca Wade nie zbliżyłby się do leśnej chatki.

— Tam właśnie jest! — powiedziała sobie Hermia.

Postanowiła pójść i się przekonać. Może powinna powiedzieć ojcu, ale wtedy poszedłby razem z nią. Dopiero by się skompromitowała, gdyby chata okazała się pusta. Mógłby ją wtedy zapytać, dlaczego tak bardzo interesuje się losem markiza. A może poczekać do rana i wtedy ojcu poddać myśl, żeby tam zajrzał? Hermia jednak czuła, że powinna poszukać go teraz, że nie wolno zwlekać.

Wstała z łóżka i ubrała się, wkładając pierwszą sukienkę, która wpadła jej w ręce. Związała włosy wstążką a na ramiona zarzuciła cienki wełniany szal. Nie powinna zmarznąć, gdyż dzień był upalny, a noc ciepła i bezwietrzna.

Gotowa do wyjścia, ostrożnie otworzyła drzwi sypialni i w skarpetkach, trzymając buty w ręku, zeszła po schodach. Wyszła kuchennymi drzwiami z tyłu domu, by rodzice, śpiący w dużym pokoju, z oknami nad głównym wejściem, nie mogli jej usłyszeć.

Włożywszy buty, ruszyła przez ogród przylegający do głównej drogi, teraz już nie mogła zostać zauważona z okien domu. Mało prawdopodobne zresztą, by ktokolwiek ją zobaczył. Wyobraziła sobie zdziwienie niani i rodziców na wiadomość, że spacerowała sama po nocy.

Zamiast wejść do parku stryja przez furtkę, wspięła się na mur, jak to robiła wielokrotnie, zeskoczyła po drugiej stronie na miękkie poszycie i skierowała się w stronę Czarciego Lasu.

Las leżał blisko wsi i może dlatego pani Wombatt wybudowała tu przed laty swój dom. Działo się to za czasów dziadka, który podobnie jak jej ojciec był pogodny i życzliwy wszystkiemu, co żyje na świecie. Dziadek nie sprzeciwił się, gdy pani Wombatt, przy pomocy dwóch młodych, oczarowanych nią mężczyzn, z cegieł i z drewnianych bali wybudowała sobie dom i zamieszkała w nim samotnie.

Wchodząc do niżej położonej części lasu, Hermia zastanawiała się, ile prawdy kryje się w opowieściach wieśniaków. Może w świetle księżyca ujrzy dziwne obrazy i usłyszy, odbijającą się echem pośród drzew, muzykę przygrywająca wiedźmom do tańca. Potem powiedziała sobie, że nawet jeśliby tu były wiedźmy, nie wyrządzą jej krzywdy, gdyż chronią ją elfy i wróżki, z którymi się przyjaźniła, odkąd dowiedziała się o ich istnieniu.

Las wyglądał cudownie w księżycowej poświacie i wydawało się, że to niemożliwe, by diabeł potrafił zniszczyć takie piękno. Srebrny blask księżyca przeciskał się między konarami, rzucając dziwaczne cienie na ścieżkę, którą szła Hermia. Widziała na niebie gwiazdy, błyszczące jak diamenty, i jeśli rozbrzmiewała tu muzyka, to właśnie ta, która wydobywała się z jej serca i z duszy drzew. Będąc małą dziewczynką, wierzyła że jeśli przyłoży się ucho do pnia, można usłyszeć, jak drzewo oddycha, a czasami, jak nuci jakąś melodię. Wszelkie inne dźwięki, w jej wyobrażeniach, pochodziły od żyjących pod korzeniami diablików i wiewiórek, budujących wysoko między konarami swoje dziuple i obawiających się tylko ludzi.

Do środka lasu było daleko, ale nawet gdy zbliżyła się do domu pani Wombatt, nie czuła lęku. Zobaczyła najpierw leśny staw, w którym staruszka podobno się myła i z którego czerpała wodę do picia. Wokół stawu rosły piękne irysy i jaskry, a tafla wody w księżycowym blasku wyglądała tajemniczo, jakby skrywała jakieś sekrety. Za stawem, ukryty w chaszczach, które wyrosły tu przez lata, Hermia dostrzegła dom pani Wombatt. Zważywszy, że tak długo stał opuszczony, był w zaskakująco dobrym stanie. Dach pozostał nietknięty, a komin tkwił na swoim miejscu. Gdy podeszła bliżej, zauważyła dwa małe okienka przy drzwiach zabite deskami. Przystanęła zastanawiając się, kto zadał sobie tyle trudu. Widocznie ktoś, kto nie bał się przekleństwa wiedźmy, przyszedł tu po jej śmierci, żeby zabezpieczyć dom przed niepożądanymi gośćmi.

Nie знаła nikogo takiego. Na pewno nie zrobiono tego na polecenie stryja Johna. On raczej by powiedział: „Im szybciej dom się rozpadnie, tym lepiej”. To samo przecucie, które przyprowadziło ją tutaj, kazało jej zajrzeć do środka. Oparła ręce na ciężkiej drewnianej belce leżącej w poprzek drzwi. Była mocno podparta dwoma parami żelaznych grabi. Wydawało się, że ustawiono je tu niedawno. Belka była bardzo ciężka i Hermia musiała wyteńczyć wszystkie siły, by ją podnieść, ale wreszcie zdołała to zrobić. Belka spadła na ziemię. Mogła już otworzyć drzwi, wtedy po raz pierwszy poczuła lęk. A jeśli znajdzie tam coś przerażającego?

Dreszcz trwogi wstrząsnął jej ciałem. Nagle usłyszała za sobą pohukiwanie sowy. Był to tak znajomy i bliski jej głos, że poczuła się pewnie, jakby ojciec albo ktoś, komu ufała, stał koło niej. Jeśli mieszkańcy lasu nie bali się, ona również nie miała powodów do strachu. Uchyliła drzwi, ale z początku nie mogła nic dostrzec. Gdy wzrok przywykł do ciemności, zauważyła na środku małego pokoju coś leżącego na podłodze. W pierwszej chwili sądziła, że to ubrania albo liście. Po chwili intuicja podpowiedziała jej, że ma przed sobą

człowieka, i wtedy już wiedziała, że odnalazła markiza. Otworzyła drzwi najszerzej jak mogła i w świetle księżyca, wpadającym do środka, ujrzała mężczyznę, od razu zobaczyła błyszczące buty i białe bryczesy. Uklękła przy nim i serce zamarło jej na myśl, że nie żyje. Błędząc ręką po twarzy, dotknęła czoła, na szczęście jest tylko nieprzytomny. By wykluczyć pomyłkę, odpięła guziki kamizelki i położyła mu dłoń na piersi. Przez cienką płócienną koszulę czuła regularne uderzenia serca. Widząc w ciemności coraz wyraźniej, dostrzegła, że ma zamknięte oczy, a na czole i na policzku zaschniętą strużkę krwi.

„Pewnie walczył z ludźmi, którzy go tu przyprowadzili! — przeszło jej przez myśl. — Może na koniec postrzelili go albo uderzyli czymś ciężkim tak mocno, że do tej pory nie odzyskał przytomności”.

Zdjęła dłoń z jego piersi i bardzo delikatnie obmacała głowę. Włosy miał zlepione krwią i choć zabrakło jej odwagi, by przeprowadzać dalej badanie, wydawało jej się, że markiz ma otwartą ranę w miejscu, gdzie go uderzono, prawdopodobnie rusznicą albo ciężkim kijem. „Muszę sprowadzić pomoc” — pomyślała.

Gdy podnosiła się z ziemi, markiz poruszył rękami i otworzył oczy. Widocznie wracała mu przytomność.

— Co... się... stało? — zapytał.

— Nic, nic. Jest pan tu całkiem bezpieczny — odparła. — Zdaje się, że ktoś uderzył pana w głowę.

Nie wiedziała, czy ją zrozumiał, ale próbował usiąść. Pomagając mu, zdała sobie sprawę, jak jest duży i ciężki. Kiedy udało się go posadzić, jęknął i na pół przytomnie próbował dotknąć dłonią czoła.

— Nic się nie stało — powtórzyła — ale chciałabym pana stąd zabrać.

Nagle poraziła ją myśl, że ten, kto przyprowadził go do domu więdźmy i rzucił na podłogę, może wrócić, by dokończyć dzieła albo upewnić się, że nikt nie przyszedł rannemu z pomocą.

Teraz, gdy markiz siedział, widziała że rękaw jego kurtki jest podarty na ramieniu, a fular rozwiązany i pomięty, a kiedy podnosił rękę do czoła, zauważyła, że z poranionych palców płynie krew. Nie ulegało wątpliwości, że kimkolwiek byli napastnicy, markiz zaciekle z nimi walczył, aż wreszcie pokonali go zadając cios czymś ciężkim.

Pozwoliła mu przez chwilę odpocząć, a potem miękko powiedziała:

— Spróbuje pan wstać, jeśli mu pomożę? Nie chciałabym zostawiać pana tu samego.

Markiz nie odpowiedział, ale widocznie zrozumiał, co do niego mówiła, bo wyciągnął rękę szukając oparcia, żeby się podnieść. Przytrzymując go pod ramię ze wszystkich sił, Hermia pomyślała, że chyba cudem, dzięki nieugiętej woli, zdołał wreszcie stanąć na nogi. Założyła sobie jego rękę na szyję i objęła go w pasie. Potem, krok po kroku, bojąc się, że lada moment upadnie, doprowadziła do wyjścia. W drzwiach podniosła wolną rękę, by nie uderzył głową we framugę, a on skrzywił się, jakby go zabolalo. Ale nic nie powiedział.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, w blasku księżyca, zaczęli się posuwać w ślimaczym tempie leśną ścieżką, tą samą którą Hermia tu przyszła.

Później Hermia często zadawała sobie pytanie, jak zdołała udźwignąć taki ciężar i zaprowadzić markiza tak daleko. Wprawdzie nie widziała twarzy rannego, lecz wydawało jej się, że zamykał oczy i pozwalał się prowadzić jak ślepiec. Odciągała go w bezpieczne miejsce, obawiając się, że ludzie, którzy go uwięzili w domku wiedźmy, powrócą. Wówczas nie będzie mogła nic zrobić, by go ocalić.

Minęła chyba godzina, zanim dotarli do muru w miejscu, gdzie Hermia weszła do parku. Zatrzymała się, markiz osunął się na ziemię. Miał zamknięte oczy, i znów przez jedną, przerażającą, chwilę myślała, że nie żyje. Potem zrozumiała, że był zbyt wycieńczony, by iść dalej.

Sama czuła się podobnie, lecz nie mogła odpocząć. Musi jak najszybciej dotrzeć do ojca. Zostawi markiza tutaj i pobiegnie do domu po pomoc. Z trudem wdrapała się na mur, zeskoczyła i pobiegła tą samą co poprzednio ścieżką przez zarośnięty ogród, do kuchennych drzwi plebanii. Wbiegła po schodach i nie pukając, wpadła do sypialni rodziców. Oboje spali. Gdy Hermia stanęła w pokoju zdyszana, matka obudziła się i zapytała:

— To ty, kochanie? Co się stało?

— Papa, gdzie papa?— wykrztusiła Hermia zmienionym głosem.

Teraz obudził się ojciec.

— Co się stało? Kto mnie wzywa?

— Ja... ja znalazłam... markiza!

Mówiąc to czuła, jak łzy płyną jej po policzkach.

— Znalazłaś markiza? — powtórzył z niedowierzaniem pastor. — Gdzie?

— W... w Czarcim Lesie, i ja... przy dźwigałam go... ścieżką aż do muru, on jest ciężko... ranny.

— W Czarcim Lesie? — powtórzył ojciec. — Nie rozumiem, skąd się tam wziął.

— Ukryli go tam ci, którzy go... napadli. Jest ranny w głowę... ale... żyje!

Słyszając ponaglenie w jej głosie, pastor wstał.

— Idź i obudź nianię — poleciła matka — przez ten czas się ubierzemy. Powiedz jej, że będzie potrzebna gorąca woda i bandaże, bo jego lordowska mość jest ranny.

Hermia zniknęła za drzwiami. Zanim obudziła nianię i wytłumaczyła jej, co się stało, ojciec już był przy niej.

— Pokaż, gdzie go zostawiłaś — powiedział. — Mam nadzieję, że go udźwignę.

Po raz pierwszy Hermia się uśmiechnęła.

— Ja sama przyniosłam go od domu wiedźmy aż do muru.

— Chyba cudem — odparł ojciec — ja mam na myśli ludzkie możliwości.

Markiz leżał w miejscu, w którym Hermia go zostawiła. Kiedy nieśli go na plebanię, był nieprzytomny.

Tymczasem matka Hermii i niania posłały już łóżko w pokoju Petera. Przygotowały także kocioł gorącej wody, świeże bandaże, uczynione ze starych prześcieradeł, i maść z ziół i miodu na rany.

Hermia została na dole, a rodzice rozebrali markiza i położyli do łóżka. Kiedy pozwolono jej go zobaczyć, wyglądał zupełnie inaczej niż przedtem. Ubrany w jedną z koszul nocnych pastora, z zamkniętymi oczami i zabandażowaną głową, sprawiał wrażenie o wiele młodszego. Mógł być rówieśnikiem Petera.

Przyglądając mu się, Hermia pomyślała, że nie wygląda ani cynicznie, ani zuchwałe. Jest po prostu zwykłym młodzieńcem, którego pobito i którego jutro bez wątpienia bardzo będzie bolała głowa.

— Dziś nic więcej nie możemy dla niego zrobić — usłyszała słowa matki.

— W takim razie połóż się, skarbie — odparł ojciec. — Ja będę czuwał przy jego lordowskiej mości na wypadek, gdyby się obudził. O świcie pojedę do pałacu, wyślę parobka po doktora i powiem Johnowi, że jego gość jest bezpieczny, choć na razie nie nadaje się do użytku!

Pani Brooke podeszła do starego, zniszczonego fotela i ułożyła na nim poduszkę, tak by mąż mógł oprzeć głowę.

— Przyniosę ci stołeczek pod nogi — powiedziała — i pled. Nie sądzę, by chory przez najbliższą godzinę odzyskał przytomność.

— Rozpieszczasz mnie — zażartował pastor.

— Wiesz, że lubię, gdy jest ci wygodnie, kochanie — odparła żona. — Powinieneś się przespać, mam przecucie, że jutro czeka nas ciężki dzień.

— Masz rację, jak zwykle masz rację — przyznał pastor. — Sam przyniosę pled. Gdzie on jest?

— Tam gdzie zwykle, przy mojej toalecie! Pastor z uśmiechem poszedł do sąsiedniego pokoju.

Matka objęła Hermie.

— Co cię podkusiło, by pójść do domu starej pani Wombatt? — zapytała.

— Byłam pewna, że tam go nie szukano — odparła Hermia. — Coś mi podszeptało, że właśnie w tym miejscu napastnicy ukryli ciało.

Nagle krzyknęła cicho, przypomniawszy sobie rozmowę z panią Burles.

— Mamo! Wiem, kto im powiedział, gdzie ukryć markiza! Ben! Ben wiedział, że nikt ze wsi nie przyjdzie do domu wiedzmy, bojąc się przekleństwa!

Po chwili dodała:

— Tylko dlaczego miałyby się w to wplątać i dlaczego markiz został napadnięty tak podstępnie, nawet jeśli to sprawka tego kuzyna który go nienawidzi?

— Też tego nie rozumiem, ale jeśli masz rację, że Ben jest w to zamieszany, to nie tylko on wpadnie w tarapaty, ale i stryj John, gdy się dowiedzą, że w napadzie brał udział jeden z jego poddanych.

— Może lepiej nikomu o tym nie mówić.

— Tak mi się zdaje, kochanie, przynajmniej póki markiz sam nie opowie, co się stało.

— Tak, mamo, oczywiście, trzeba poczekać — zgodziła się Hermia.

Pocałowała matkę i poszła do swojego pokoju. Bolały ją ręce i ramiona i czuła ogromne zmęczenie. Rozbierając się, pomyślała że jutro cała tajemnica się wyjaśni. Na swój sposób było to bardzo ekscytujące. Potem przyszło jej do głowy, że gdy Marilyn dowie się o pobycie markiza na plebanii i że Hermia ocaliła mu życie, będzie wściekła.

— To nie moja wina! — powiedziała głośno, jakby Marilyn już ją oskarżała.

Widziała niemal złość w spojrzeniu kuzynki i wiedziała, że ten postępek nie zostanie jej wybaczony.

## Rozdział piąty

Obecność markiza na plebanii spowodowała zadziwiające zmiany.

Przez dwa dni leżał nieprzytomny, majacząc i przewracając się z boku na bok.

Lekarz, stary przyjaciel rodziny, który przyjechał z pobliskiego miasta, powiedział:

— Pozwólcie mu wypocząć. Magiczne nalewki pani Brooke są stokroć lepsze niż to wszystko, co mógłbym mu przepisać.

Mówiąc to, zaśmiał się. Sława ziół i innych naturalnych składników, które matka dobiera i miesza w odpowiednich, sobie tylko znanych proporcjach, rozniesie się po całym hrabstwie.

Doktor potwierdził podejrzenia Hermii — markiz zacięcie walczył z napastnikami i powaliło go dopiero uderzenie ciężkim kijem albo drewnianym balem w głowę. Maść matki i umiejętnie założony opatrunek dawały nadzieję, że rana szybko się zagoi. To samo odnosiło się do połamanych kostek, olbrzymich siniaków na całym ciele i, jak doktor podejrzewał, uszkodzonego żebra.

Z pałacu przyjechał lokaj markiza i mimo narzekań niani, że w domu i bez niego jest dosyć ludzi, zamieszkał na plebanii. Hickson okazał się niezastąpiony, a ponieważ też był dziwakiem i człowiekiem jeszcze bardziej zgryźliwym niż niania, świetnie do siebie pasowali. Wymagał od hrabiego dla swego pana rzeczy, o które ani pastor, ani jego żona nigdy nie ośmieliliby się prosić, a na które sami nie mogli sobie pozwolić. Na plebanię przysyłano codziennie cielęcinę, wołowinę, kurczaki i tłuste gołąbki. Markiz na razie nie mógł jeść tych wspaniałości, za to Hermia zauważyła, że odkąd dostają tak wyborne jedzenie, ojciec jest mniej zmęczony, a matka jeszcze piękniejsza. Z początku pani domu protestowała:

— Nie mogę przyjmować wszystkiego, co przynoszą z pałacu — powiedziała Hicksonowi.

— Proszę to zostawić mnie, pani — odparł lokaj. — Jego lordowska mość przywykł do takich posiłków i jeśli ma tu zostać, musi jeść najlepsze potrawy.

Pani Brooke wiedziała, że to prawda, a Hermia, ujrawszy soczyste brzoskwinie z cieplarni i olbrzymie muskatowe winogrona, pomyślała, że hrabia mógłby czasami pamiętać, że ma ubogiego brata.

Stryj miotał się między plebanią a pałacem jak zatroskana kura, która właśnie zgubiła swego najcenniejszego kurczaka, bo pewnie Marilyn nalegała,



by przenieść markiza do pałacu. Ale sam pacjent, gdy czuł się na tyle dobrze, by móc myśleć i mówić, stanowczo odmówił przeprowadzki.

— Tu jest mi bardzo wygodnie — powiedział. — Doktor Grayson wyraźnie polecił, bym się jak najmniej poruszał, bo w przeciwnym razie mogę zostać lunatykiem!

Dziwne, że wolał małą sypialnię Petera niż olbrzymi pokój gościnny, w którym sypiał w domu hrabiego.

Leżał, patrząc na rozwieszane na ścianach trofea Petera, i sprawiał wrażenie zadowolonego. Naprawdę na nic nie narzekał.

Pewnego dnia, gdy już mógł mówić, opowiedział hrabiemu i pastorowi, co zaszło.

— To historia bardziej niesamowita niż przypuszczaliśmy — rzekł tego samego wieczoru pastor do żony i córki — natomiast w pełni potwierdza fatalną reputację de Ville'a.

— Kochanie, umieramy z ciekawości — uśmiechnęła się pani Brooke.

— Wszystko wam opowiem — odparł pastor. — Wydobycie tych informacji od jego lordowskiej mości zajęło nam sporo czasu, bo markiz ma zaniki pamięci. Musieliśmy czasem długo czekać, aż przypomni sobie różne szczegóły. Otóż

kiedy hrabia został odwołany do pałacu, teraz nikt nie ma wątpliwości, że był to tylko pretekst, markiz pojechał dalej sam. Dotarł do skraju Czarciego Lasu, kierując się w stronę, gdzie według słów swego gospodarza znajdował się wybieg jednoroczniaków. Jechał wolno, więc trzech mężczyźni, którzy zniechęceni wyskoczyli z zarośli, bez trudu ściągnęli go z konia. Biorąc ich za zbójców napadających podróżnych na drogach, markiz walczył zawzięcie, dopóki nie obezwładnili go i nie zawlekli do lasu. Był tam jeszcze jeden człowiek, młodszy niż trzech pozostali, ale markiz nie zdążył mu się przyjrzeć. Dwaj z nich mogli być Cyganami albo cudzoziemcami, trzeci, bardziej wykształcony, sprawiał wrażenie przywódcy. To on podrobił pismo markiza, na papierze wykradzionym z jego domu w Londynie, i kazał mu list podpisać. Markiz, oszołomiony silnym ciosem, miał kłopoty z czytaniem, ale jednak się zorientował, że list zawiera polecenie, by trener wycofał konia Firely z biegu o Złoty Puchar, który odbędzie się w Royal Ascot. Wiedząc, że Firely był faworytem i że na pewno przy jego szczęściu zdobędzie puchar, odmówił złożenia podpisu. Wówczas ci ludzie zaczęli go bić. Markiz, rozumiejąc, że w starciu z nimi nie ma szans, zgodził się na ich żądania i podpisał się imieniem i nazwiskiem. W tej samej chwili poczuł uderzenie w tył głowy i przejmujący ból, nic więcej już nie pamiętał.

— Bez wątpienia — zakończył pastor, opowiadanie — spisek został uknuty przez Roxforda de Ville, a to z tej prostej przyczyny, że jest on współwłaścicielem konia, który z łatwością zdobędzie puchar, jeśli nie pobiegnie Firely.

— Pewnie postawił na niego ogromne sumy — rzekła Hermia.

— Oczywiście! — odparł pastor. — Ale cała historia była jeszcze bardziej skomplikowana, gdyż hodowcy ogłosili, że wystawią również innego konia który miał ponoć być lepszy niż aktualny zwycięzca!

— To nielegalnie?! — wykrzyknęła pani Brooke.

— Jedynie niesportowo — odparł pastor. — Koń, którego wszyscy typowali, zajął jedno z dalszych miejsc. Na zwycięzcę postawiło tylko szesnaście osób.

— Musieli zbić fortunę! — zawołała Hermia.

— To właśnie zamierzał Roxford de Ville — powiedział pastor — a że nie był na tyle głupi, by od razu zabić markiza...

— Zabić?! — krzyknęła pani Brooke.

— Tak. Poleciał zaprowadzić go do domu zwanego domem więdźmy i tam nieprzytomnego zostawić.

Przerwał, a po namyśle powiedział powoli:

— Musieli się od kogoś ze wsi dowiedzieć, że nikt nie odważy się przyjść do domku starej pani Wombatt.

— Przypuszczam, że każdy mógł im to powiedzieć — zawołała pani Brooke.

— Usiłowanie zabójstwa to oskarżenie, które bardzo trudno udowodnić — odrzekł poważnie pastor — i gdyby Hermia nie była tak mądra i nie domyśliła się, że markiz tam jest, mógłby umrzeć tej samej nocy, a już na pewno w ciągu dwóch, trzech dni!

Pani Brooke krzyknęła przerażona:

— To piekielny plan! Co markiz ma zamiar zrobić?

— John rozmawiał już z szefem policji. Rozważali, czy można wnieść oskarżenie przeciw Roxfordowi de Ville. Niestety, bardzo trudno będzie udowodnić, że miał powiązania z trzema mężczyznami, którzy oczywiście zniknęli, otrzymawszy niewątpliwie sowitą zapłatę za swe usługi.

— Lecz jeśli panu de Ville tym razem... nie udało się... zabić kuzyna — odparła Hermia — na pewno... spróbuje znowu.

— Istnieje taka możliwość — zgodził się ojciec — ale my musimy zająć się leczeniem markiza. Jest tak silny, że powinien wkrótce wyzdrowieć.

Dowiedziawszy się od Hicksona, że markiz nie tylko czuje się lepiej, ale, jak mówił lokaj: „nudzi się jak mops”, Hermia poszła go odwiedzić. Było późne

przedpołudnie i ani rodziców, ani niani nie było w domu. Zapukała delikatnie do drzwi sypialni, a gdy nie otrzymała odpowiedzi, weszła.

Markiz leżał na łóżku, wsparty na kilku poduszkach. Zauważyła że zdjęto mu już bandaż, zostawiając tylko opatrunek z tyłu głowy. Był szczuplejszy i bledszy niż wtedy, gdy widziała go ostatni raz, ale spojrzenie miał równie przenikliwe jak dawniej i jak dawniej odbierało jej ono śmiałość.

— Wejdz, Hermio! — powiedział. — Zastanawiałem się, kiedy znajdziesz czas, by mnie odwiedzić.

— Miałam czas i chciałam przyjść wcześniej — odparła Hermia, podchodząc do łóżka — ale nie pozwolono panu z nikim rozmawiać, ponieważ potrzebował pan spokoju.

— Mam spokoju po dziurki w nosie! — wybuchnął markiz. — I chcę z tobą rozmawiać!

— Dlatego tu jestem — uśmiechnęła się Hermia siadając na krześle przy łóżku. — Może miałby pan ochotę, abym mu poczytała.

— Później. Najpierw chciałbym ci podziękować za ocalenie mi życia.

Nie odezwała się, więc markiz mówił dalej:

— Wiem od twojego ojca, że w środku nocy zawędrowałaś do Czarciego Lasu i szukałaś mnie tam, gdzie nikt inny nie ośmieliłby się pójść. Dlaczego to zrobiłaś?

— To... trudno wyjaśnić — odparła Hermia — ale miałam przecucie, któremu nie... nie potrafiłam się oprzeć, że tam pana... znajdę.

— Jestem ci bardzo wdzięczny. Znów jego ton był suchy i cyniczny.

— Hickson mówił, że w całej wsi z przerażeniem mówi się o Czarcim Lesie. Nie bałaś się pójść tam, sama w środku nocy? Hermia pokręciła przecząco głową.

— Kocham las i nie wierzę, żeby pani Wombatt, która wybudowała ten mały domek, miała konszachty z diabłem.

— Pewnie pomyślałaś, że to odpowiednie miejsce dla mnie! — zakpił markiz.

— Nie myślałam wtedy o tym przezwisku — odparła Hermia — i póki nie otworzyłam drzwi, wcale się nie bałam!

— A potem?

Hermia odniosła wrażenie, że markiz ją wypytuje, więc odparła beztrąsko:

— Gdybym się spodziewała, że zastanę tam diabła, chociaż tak nie było, powtarzałabym kornwalijską litanie, której w dzieciństwie nauczyła mnie mama. — Zauważywszy, że markiz słucha z uwagą, wyrecytowała:

Od wiedźm, czarownic i ich zaklęć, Od duchów, wampirów i bestii chyżych,  
Od wszystkiego, co ożywa w noc głuchą Boże, uchron nas!

Markiz roześmiał się.

— To by na pewno poskutkowało, przyznaj się, że się modliłaś, żeby nie umrzeć na widok tego, co tam zastaniesz?

— W istocie — powiedziała Hermia — gdy wreszcie udało mi się odsunąć belkę leżącą w poprzek drzwi, wyciągnęłam rękę, by je otworzyć, i nagle przestraszyłam się tego, co mogę znaleźć w środku.

Wzdrygnęła się.

— To było okropne uczucie, ale zaraz usłyszałam między drzewami pohukiwanie sowy i już wiedziałam, że nie ma powodów do strachu, bo gdyby diabeł maczał w tym palce, nie byłoby tam zwierząt ani ptaków.

Zamilkła a potem dodała:

— Poza tym od dzieciństwa chronią mnie wróżki i elfy.

Powiedziała to zwyczajnie, nie zastanawiając się, do kogo kieruje te słowa a potem, w obawie, że uzna ją za naiwną, zarumieniła się i szybko dodała:

— Znalazłam cię, panie, i teraz jesteś bezpieczny.

— Ledwie uwierzyłem słowom twego ojca, że przyniosłaś mnie z lasu aż pod mur graniczący z drogą!

— Jest pan bardzo ciężki — odparła Hermia. — Jeżeli już do końca życia będę miała jedno ramię dłuższe, będzie to twoja wina!

Próbowała wszystko zbagatelizować, ale markiz niespodziewanie wyciągnął rękę, kładąc ją na białej pościeli.

— Podaj mi dłoń, Hermio — rozkazał.

Posłusznie spełniła polecenie. Zacisnął na jej ręce palce i rzekł:

— Żadne słowa nie wystarczą, by podziękować za ocalenie życia, i zastanawiam się, jak najlepiej wyrazić to, co czuję.

Nigdy wcześniej nie słyszała tej głębokiej nuty w jego głosie i ogarnęło ją dziwne, nieznane uczucie. Zamrugła i powiedziała starając się, by jej słowa nie zabrzmiały zbyt patetycznie:

— Proszę... to tylko mnie onieśmiela, właściwie naprawdę powinien pan podziękować mamie, bo dzięki jej mądrości, jej ziołom, jej lekarstwu... za dzień lub dwa będziesz się czuł jak nowo narodzony.

Jego palce zacisnęły się mocniej na jej dłoni. Po chwili zwolnił uścisk.

— W takim razie — odezwał się zmienionym głosem — powiedz mi, co się wydarzyło w pałacu, gdy się zorientowano, że zaginałem.

Myśląc, że go to rozbawi, Hermia opisała zamieszanie, jakie powstało z tego powodu, wzburzenie stryja i reakcję Marilyn.

— W tamtą noc ojciec wrócił do domu koło jedenastej — powiedziała. — Stryj John właśnie planował akcję wojskową w celu odnalezienia pana i jeśli mam być szczerą, sprawdzenia siebie w roli stratega!

— Mówisz, że Marilyn poszła spać — wolno powiedział markiz.

— Była bardzo przygnębiona — pośpiesznie odparła Hermia — wiem, że z niecierpliwością czeka chwili, kiedy będzie można przenieść pana do pałacu.

— Nie wątpię! — mruknął markiz.

Zapadła cisza, Hermia zastanawiała się, co powinna powiedzieć, lecz markiz pierwszy przerwał milczenie.

— Czy bardzo lubisz swoją kuzynkę?

— W dzieciństwie spędzałyśmy razem cudowne chwile. — Miałyśmy tą samą guwernantkę i nauczycieli. Mogłam jeździć konno i... korzystać z pałacowej biblioteki.

Nie miała pojęcia, że jej spojrzenie wyraźnie mówiło, ile te przyjemności dla niej znaczyły.

— A teraz?

Zrozumiała że markiz domyślił się, dlaczego odsunięto ją bok, gdy Marilyn dorosła.

Uważając, że nawet wspomnianie o tym było dla niej upokarzające, szybko powiedziała:

— Na pewno za długo już rozmawiamy. Pozwól, panie, że ci poczytam. Może zasmuciły cię wydarzenia ostatniego tygodnia ale zatrzymałam środowe gazety, na wypadek gdybyś interesował się Złotym Pucharem.

— W tej chwili bardziej interesuje mnie to, co dzieje się tutaj — odpowiedział. — Staram się zrozumieć, dlaczego twoi rodzice są tak ubodzy, podczas gdy twój stryj jest taki bogaty.

Hermia popatrzyła na niego, zanim rzekła:

— Shjchasz, panie, Hicksona, a on niani! Nie możesz wierzyć we wszystko, co ci mówi.

— Mam oczy i widzę, na przykład, że twoja kuzynka Marilyn nie dzieli się z tobą swymi strojami!

Jego słowa od razu uświadomiły Hermii, że sukienka, którą ma na sobie, jest bardzo podobna do tej, w której widział ją pierwszy raz. Miała już trzy lata i była za ciasna, za krótka i wypłowiała. Uważając, że to jest nietakt, a nawet impertynencja mówić jej takie rzeczy, uniosła głowę i odparła:

— Masz prawo krytykować, panie, ale zapewniam cię, że nie zamieniłabym mojego domu na cały zbytek pałacu!

— Więc szukasz rzeczy ważniejszych niż doczesne dobra tego świata?

Hermia mogła się spodziewać, że nie przepuści okazji do drwiny, i odparła:  
— Śmiejesz się, panie, a ponieważ jesteś bogaty, nie zrozumiesz, gdy ci zupełnie szczerze powiem, że pieniądze nie dają szczęścia!

Zapadła cisza. Markiz wpatrywał się w nią Hermia czuła, jak jego wzrok przenika głęboko do jej serca.

— Lecz jak każda kobieta — powiedział — musisz lubić piękne suknie, bale i oczywiście przystojnych mężczyzn prawiących ci komplementy.

— Mówi pan jak mama— roześmiała się Hermia, a jej śmiech rozniósł się echem po małym pomieszczeniu. Ona też chciałaby, żebym miała czarodziejskie suknie, chodziła na czarodziejskie bale i posiadała czarodziejskie konie do konnej jazdy.

Przerwała, a gdy znów się odezwała, na jej policzkach ukazały się dołeczki.

— I właśnie to mam!

Przez chwilę markiz spoglądał na nią zaskoczony, po czym rzekł:

— W wyobraźni!

Hermia pomyślała, że musiał być mądry, skoro zrozumiał, co miała na myśli, i znów zaśmiała się beztrosko, zanim odpowiedziała:

— Żadna z tych magicznych rzeczy nie może się zniszczyć ani zostać mi odebrana i nigdy, nigdy mnie nie rozczaruje. Poza tym, mój panie, powinnam dodać, że są one o wiele tańsze!

Markiz uśmiechnął się i tym razem było to coś więcej niż zwykły grymas.

— Mam przecucie — powiedział — że jeśli zostanę tu dłużej, znajdę się pod wpływem twych czarownych zaklęć i nie będę mógł uciec.

— Zawsze może pan uciec — odparła zaczepić Hermia, po chwili powiedziała poważnie: Powinniśmy nauczyć cię tego zaklęcia, zanim odejdiesz, by broniło cię... gdyby ten szalony człowiek, który... napadł na ciebie... spróbował tego ponownie.

Pochyliła się lekko w jego stronę dodając:

— Proszę... proszę, bądź ostrożny! Następnym razem może im się udać... zrealizować plan i... zabić ciebie!

— Gdyby mnie zabili, wątpię, czy ktokolwiek płakałby po mnie — odrzekł markiz — albo tęsknił.

Hermia wyprostowała się na krześle.

— Nie wolno mówić takich rzeczy! — powiedziała ostro. — Oczywiście, że wiele osób by płakało, bo podziwiają pańskie sportowe osiągnięcia, a jeśli ci zazdroszczą, to dla własnego dobra powinni walczyć z zawiścią.

W spojrzeniu markiza wyczytała niedowierzanie, więc dodała:

— Powiem ci, panie, komu naprawdę będzie ciebie brak.

— Komu? — zapytał markiz.

Spodziewał się usłyszeć od niej, tak jak to słyszał od wielu kobiet, że będzie za nim tęsknić.

— Pańskim koniom! — odparła. — Jeśli ktoś jest tak dobrym jeźdźcem, musi kochać zwierzęta. One wiedzą o tej miłości, i może dlatego wygrywają tyle wyścigów.

Markiz milczał.

— Toteż byłam pewna, że twój koń nie mógł cię zrzucić!

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— A więc uważaj na siebie, choćby ze względu na konie, które czekają w stajniach.

Markiz nie zdążył odpowiedzieć, gdyż do sypialni wszedł hrabia. W małym pokoiku wyglądał jeszcze potężniej i dostojniej. Hermia z szacunkiem podniosła się na jego widok.

— Dzień dobry, stryju Johnie! — przywitała się całując go w policzek.

— Dzień dobry, Hermio! — Hrabia zmierzył ją krytycznym wzrokiem. — Jak się dziś czuje nasz pacjent?

— Jak widzisz, znacznie lepiej. Mama jest z niego bardzo zadowolona.

— To dobrze! To znaczy, że za zgodą doktora możemy go przenieść do pałacu.

Hermia chciała zaprotestować, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

— Pewnie zechcesz porozmawiać z markizem w cztery oczy — powiedziała — a i doktor Grayson nalegał, by w pokoju chorego przebywała najwyżej jedna osoba.

Przy drzwiach odwróciła się:

— Czy mogę ci coś podać, stryju Johnie? Może filiżankę kawy albo szklaneczkę porto?

Wspomniawszy o porto, złękła się. Stryj mógł się zorientować, że proponuje mu jego własny trunek. Wczoraj Hickson, podając im w jadalni: obiad, nalał do szklaneczki pastora wyborne Clarefy mówiąc:

— Pomyślałem, sir, że mógłbyś mieć wieczorem ochotę na szklaneczkę porto, więc napełniłem karafkę.

— To doskonały pomysł, Hicksonie! — pochwalił pastor. — Ufam, że masz pozwolenie jego lordowskiej mości, by przynosić wina z pałacu — dodał zauważwszy spojrzenie żony.

— Jego lordowska mość pragnie, by mój pan otrzymywał to, do czego przywykł, i pił to, co by pijał, gdyby był w pałacu — odparł Hickson. — Lecz on nie lubi pić sam, dlatego polecił mi, bym podał i tobie, sir.

Hickson mówił to nieco agresywnym tonem i Hermia podejrzewała, że markiz nic takiego nie powiedział. Pewnie nawet nie przyszło mu do głowy, że pastor nie pijał wina do posiłków. Nie miał pojęcia, że tutaj, na plebanii, wino podawano tylko przy szczególnych okazjach, takich jak święta Bożego Narodzenia, urodziny albo zabawy, których zresztą nigdy nie urządzano.

— Nie, Hermio, dziękuję. — rzekł hrabia. Hermia zamknęła drzwi i zbiegła na dół mając gorącą nadzieję, że stryj nic na ten temat nie powie. Ojciec by się zasmucił, on naprawdę lubi takie luksusy.

W tym momencie otworzyły się frontowe drzwi i do sieni wszedł pastor, jakby przywołany myślami Hermii.

— Widziałem, że John tu jest! — powiedział, otrzepując z kapelusza krople deszczu.

Hermia dostrzegła na podjeździe śliczny powóz hrabiego, zaprzężony w parę wspaniałych koni, z dwoma służącymi na koźle.

— Tak, niedawno przyjechał, rozmawia teraz z markizem. Poczekaj chwilę, zanim tam wejdiesz. Doktor Grayson uważa, że markiz powinien mieć jak najwięcej spokoju.

— Będzie mi go brak, gdy odjedzie — rzekł pastor, wchodząc do salonu. — Podczas wczorajszej rozmowy przekonałem się, że to mądry człowiek.

— Też tak uważam — odparła Hermia.

Pomyślała, że skoro jest inteligentny, poślubiwszy Marilyn, prędko się nią znudzi. Kuzynka nigdy nie przeczytała książki, nie interesowała się polityką ani żadną z dziedzin życia społecznego. Zaraz jednak zawstydziała się tych myśli. Jest niesprawiedliwa. Marilyn to dla markiza odpowiednia żona. A jak pięknie będzie wyglądać, gdy z wdziękiem zasiądzie u szczytu stołu. Oni pasują do siebie, wmawiała sobie bez przekonania.

— A gdzie mama? — zapytał pastor. Hermia dobrze знаła to pytanie. Ojciec i matka tęsknili do siebie, gdy choć przez godzinę nie byli razem.

— Poszła zobaczyć się z panią Burles. Staruszka jest ostatnio w wyjątkowo złym stanie. Martwi się o Bena.

— To nieustanne zmartwienie i nie ma w tym nic wyjątkowego.

Hermia wiedziała, że to trwoga o Bena nęka skolatany umysł pani Burles, bo Ben pomagał ludziom, którzy napadli na markiza, nie powiedziała jednak o tym ojcu,

— Z kim się dzisiaj widziałeś, papo? — zmieniła temat.

— Z prostymi ludźmi, którzy są coraz bardziej zdesperowani brakiem pracy. Postanowiłem jeszcze raz porozmawiać z Johnem, ale Bóg raczy wiedzieć, czy mnie wysłucha!



Na schodach rozległy się ciężkie kroki hrabiego. Pastor wyszedł z salonu na korytarz, żeby powitać brata:

— Miło cię widzieć, Johnie! Jak mogłeś się przekonać, nasz pacjent wraca do zdrowia i nareszcie wygląda tak jak dawniej.

— Tryska nowymi pomysłami — odparł hrabia. Nie poszedł do wyjścia, jak przypuszczała Hermia ale wszedł do salonu. Pastor podążył za nim.

Hrabia stanął tyłem do kominka i marszcząc brwi, powiedział:

— Zanim Deverille o mały włos nie zginał z rak swego kuzyna, przedyskutowaliśmy wspólnie problem bezrobocia.

— Problem bezrobocia? — powtórzył zaskoczony pastor.

— Dzisiaj znów o tym wspomniał. On uważa, że powinienem zbudować w swoich dobrach skład drewna, bo po wojnie potrzeba będzie budulca.

Hermia słuchała z zapartym tchem. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę słowa jej stryja.

— Trudno mi się sprzeciwiać jego namowom, lecz ja nie mam czasu. Ty jesteś tak zaangażowany w sprawy bezrobotnych, których wielu znajdzie tam zatrudnienie, że zostawiam to tobie, Stantonie!

— Mnie? — zawołał pastor.

Ojciec, równie jak Hermia, był zaskoczony słowami hrabiego.

— Tak, tobie — odparł hrabia. — Zatrudnij, kogo chcesz i ilu ludzi chcesz. Mnie wystarczy, by inwestycja przynosiła zyski, a przynajmniej, by się zwróciła po dwóch, trzech latach. Wtedy zdecydujemy, czy warto to kontynuować.

Pastor westchnął głęboko:

— Johnie, pragnę ci z głębi serca podziękować.

— Tylko nie zwracaj mi głowy szczegółami. Załatwiał wszystkie finansowe sprawy z moim księgowym. Każę mu przyjechać z Londynu i spotkać się z tobą.

Z tymi słowy, jakby był niezadowolony ze swojej wspaniałomyślności, wyszedł z salonu, a brat, nie mogąc uwierzyć, że to nie sen, podążył za nim.

Hermia klasnęła w dłonie, oto w jaki sposób markiz okazał swoją wdzięczność. Potem, chcąc mu powiedzieć, ile to dla niej znaczy i jak wspaniały był jego gest, pobiegła po schodach wprost do jego sypialni. Weszła, zamknęła cicho drzwi i przez moment stała przypatrując się leżącemu.

Wcale nie sprawiał wrażenia człowieka cynicznego czy znudzonego, co znów onieśmieliło Hermie. Nie przypominał też nieznanego o twarzy diabła który śmiał ją pocałować i którego nienawidziła!

Gdy się nie odzywała, markiz odwrócił głowę. Podbiegła do łóżka i uklękła.

— Jak zdołałeś, panie, zrobić... coś tak... cudownego i przekonać stryja Johna, by otworzył skład drewna? — wyszeptała. — Jesteś wspaniały... cudowny! Papa jest taki... szczęśliwy!

— A ty? — zapytał markiz. — Czy ty też jesteś szczęśliwa?

— Oczywiście że tak! I wiem, że mama uklęknie i podziękuje Bogu, jak ja... dziękuję tobie.

Popatrzyła na niego ze łzami w oczach. Markiz powiedział swym zwykłym, drwiącym tonem:

— Jeśli tak się rozplýwasz nad składem drewna to ciekawy jestem, co powiedziałaabyś, gdybym ci kupił diamentową kolię?

Jego pytanie było tak niespodziewane, że Hermia przykucnęła i roześmiała się.

— Wolę skład drewna dla papy niż wszystkie klejnoty świata! Wprawdzie nie mogę go założyć na szyję, ale jestem bardzo, bardzo dumna, że... może... może dzięki mnie... przekonałeś stryja Johna, by zrobił coś dla tych, którzy... nie mogą znaleźć pracy.

Markiz przyjrzał się jej w milczeniu.

Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Brooke. Zarumieniona od szybkiego biegu po schodach, z błyszczącymi oczami i rozrzuconymi w nieładzie włosami, o identycznym niemal kolorze jak włosy córki, wyglądała pięknie.

Mówiła trzymając w dłoni kapelusz.

— Przypuszczam, że Hermia już podziękowała, teraz i ja zamierzam to zrobić.

— Szkoda, że nie ma tu pani męża — odparł markiz — ale proszę usiąść, pani Brooke, bo chciałbym z panią porozmawiać.

Hermia podniosła się, uznawszy, że powinna odejść, ale markiz poprosił:

— Zostań, Hermio, to dotyczy ciebie. Mówił bardzo poważnym tonem. Dziewczyna popatrzyła na niego, próbując odgadnąć, co ma do powiedzenia. Obawiając się, że może ujawnić coś, o czym matka dotąd nie wiedziała, niepewnie usiadła na krześle.

Markiz powiedział unosząc się na poduszkach.

— Długo się zastanawiałem, jaki prezent mógłbym ofiarować waszej rodzinie w podziękowaniu za jej dobroć.

— My niczego nie chcemy — cicho powiedziała pani Brooke.

— Spodziewałem się takiej odpowiedzi, ale ja mam w życiu żelazną zasadę, zawsze spłacam swoje długi. Przerwał, a po chwili dodał z goryczą:

— W przeciwieństwie do niektórych ludzi! Hermia pomyślała, że to się odnosi do Roxforda deVille.

— Cieszę się, że mogliśmy ci, panie, pomóc — odparła pani Brooke.

— Bardzo wysoko cenię swoje życie, szczególnie po tym, co zaszło — rzekł markiz. — Ocaliłem je dzięki Hermii, więc w normalnych warunkach przysłałbym jej kosztowny klejnot w dowód mojej wdzięczności.

Pani Brooke chciała się odezwać, ale on mówił szybko:

— Zamiast tego mam inny pomysł, który, ufam, uzyska waszą zgodę, może w ten sposób spełni się jedno z waszych marzeń.

Hermia wstrzymała oddech.

— Postanowiłem zaprosić Hermie na kilkutygodniowy pobyt w Londynie podczas sezonu jeździeckiego.

Pani Brooke spojrzała na markiza z niedowierzaniem:

— Moja siostra, lady Langdon, jest bardzo samotna i nieszczęśliwą od kiedy jej mąż zginął w bitwie pod Waterloo. Wiem, że z prawdziwą radością zaopiekuje się Hermią i wprowadzi ją do towarzystwa.

Uśmiechnął się i dodał:

— Poza tym wierzę, że ma doskonały gust w doborze strojów i będzie zachwycona rolą wróżki — matki chrzestnej Hermii!

— To.. to niemożliwe! — wyszeptała pani Brooke. — Nie możemy się na to zgodzić!

— Nic nie jest niemożliwe — przerwał markiz — oprócz odmowy. Nie wolno odbierać córce tego, co dla niej najlepsze. Nie wolno odrzucać takiej szansy.

Niewątpliwie miał rację. Pani Brooke nie potrafiła nic odpowiedzieć.

— Wydam dla Hermii mały bal w moim domu, a siostra dopilnuje, by została zaproszona na wszystkie, które odbędą się przed zakończeniem sezonu. Teraz pozostała nam już tylko jedna sprawa.

— Cóż takiego? — zapytała pani Brooke. Głos jej zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

— Musimy przywieźć Hermie do Londynu jeszcze w końcu tego tygodnia. Niedługo sezon się skończy, bo regent wkrótce wyjeżdża do Brighton, a wtedy wiele osób zaniknie swe domy i wróci na wieś.

Znowu się uśmiechnął i dodał:

— Tylko od pani czarów zależy, pani Brooke, czy szybko stanę na nogi i czy baśń rozpocznie się dla Hermii natychmiast!

— Nie... nie mogę uwierzyć w to... co słyszę! — powiedziała pani Brooke zmienionym głosem.

Hermia zauważyła, że po policzkach matki płyną łzy.

Hermia omówiła z rodzicami wszystko, co dotyczyło zamiarów markiza, i nic już nie zostało do powiedzenia, dopiero wtedy poszła do sypialni. Podeszła do okna i spoglądała na księżyc i gwiazdy. Odkąd markiz wyjawiał swoje plany, żyła jak we śnie. Nie mogła uwierzyć własnym uszom, że oto wkrótce spełnią się jej modlitwy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odsłoniła się przed nią barwna i wspaniała przyszłość, czuła jakby kometa unosiła ją do nieba.

Bała się tylko, co powie Marilyn, i że stryjostwo, gdy usłyszą, co się stało, wpadną w złość. Potem przyszedł jej na myśl skład drewna, który tak bardzo ucieszył ojca. Wiedziała, że hrabia przystał na to, ponieważ propozycja pochodziła od człowieka, który miał zostać jego zięciem. Ta myśl była jak lodowata dłoń, która zdjęła z jej oczu błyszczącą, przeźroczystą zasłonę, i gwiazdy nie świeciły już tak jasno. Może przed wyjazdem markiz poprosi o rękę Marilyn, wtedy nie rozgniewają się tak bardzo, że jego siostra zaopiekuje się Hermią.

— Jest wdzięczny... oczywiście, że jest mi wdzięczny — powiedziała do siebie. — Po prostu chce spłacić swój dług. Przemyślała to wszystko dokładnie i trzeźwo, ale uniesienie, które czuła, prysło. Chociaż rzadko to robiła, zaciągnęła kotarę, zasłaniając przed oczami wspaniałość nocy, i w ciemności położyła się do łóżka. Nife mogła zasnąć. Zastanawiała się, w jaki sposób markiz oświadczy się Marilyn i jak ona przyjmie jego pocałunek. Na samą myśl o tym poczuła na swych wargach twardy, zniewalający i bezczelny dotyk jego ust.

Wiedziała, że choć już nigdy jej nie pocałuje, ona nie zapomni, że był pierwszym mężczyzną który to uczynił.

## Rozdział szósty

Hermia weszła za lady Langdon do obszernego marmurowego holu.

— Czy jego lordowska mość już wrócił? — zwróciła się do odźwiernego:

— Jego lordowska mość przyjechał kilka minut temu i jest w swojej pracowni.

Hermia poczekała, aż lady Langdon wejdzie na schody, dopiero wówczas powiedziała:

— Czy nie jestem już potrzebna? Chciałabym porozmawiać z pani bratem.

— Nie, zrobiłyśmy wszystko, co miałyśmy w planie na dzisiejszy ranek, idź i porozmawiaj z Favianem — odparła z uśmiechem lady Langdon i odeszła bogato rzeźbionymi schodami do apartamentów znajdujących się na pierwszym piętrze.

Dom markiza zupełnie różnił się od tego z wyobrażeń Hermii.

Była to jedna z najbardziej okazałych rezydencji na Piccadilly, dostojna i budząca większą grozę niż jej właściciel. Na parterze mieściły się: jadalnia, biblioteka, pokój śniadaniowy, gabinety i pracownia, gdzie markiz lubił samotnie przesiadywać. Na pierwszym piętrze znajdowały się pokoje do przyjęć, a podest u szczytu podwójnych schodów wydawał się specjalnie przeznaczony dla pani domu, by mogła w blasku diamentów przyjmować gości.

Były tu też dwa salony, połączone ze sobą tak, by tworzyły salę balową w której mieściło się co najmniej dwustu gości, pokój do gry w karty, pokój muzyczny i, ku zadowoleniu Hermii, galeria obrazów. Wszystko było doskonale pomyślane i urządzone z wykwinnym smakiem. Wydawało się to po prostu niemożliwe, żeby markiz, przywykły do życia w podobnym przepychu, mógł czuć się dobrze na małej, zniszczonej plebanii. Wprawdzie, zdaniem lady Langdon, niewygodnie żyło się w takim olbrzymim domu, zwłaszcza że wszystkie sypialnie mieściły się na drugim piętrze. Jeśli ktoś nie potrafi fruwać, musi ciągle wspinać się po schodach.

Hermia właśnie miała wrażenie, że wyrosły jej skrzydła. Od przyjazdu do Londynu, codziennie budziła się z przekonaniem, że znajduje się w domu w swej małej sypialni i codziennie nie mogła uwierzyć, że wydarzenia ostatnich dni nie były wytworem jej fantazji. Gdy karetka markiza, zaprzężona w czwórkę koni, przyjechała po nią na plebanie i wysiadł z niej najstarszy, poważany majordomus, który miał w drodze dotrzymać jej towarzystwa, przytuliła się do matki, mówiąc:

— Szkoda, mamó, że nie możesz ze mną pojechać. Byłabym o wiele szczęśliwsza, gdybyś to ty się mną opiekowała, a nie siostra markiza.

— Ja bym się też cieszyła — odparła matka — ale jak wiesz, nie mogę zostawić ojca. Jestem naprawdę bardzo, bardzo zadowolona, że spędzisz sezon w Londynie, nie przypuszczałam, że sen może się kiedykolwiek spełnić.

Hermia również sądziła, że to niemożliwe! A teraz, kiedy bajka miała się urzeczywistnić, bała się, że będzie się czuła skrepowana i niepotrzebna i że popełni mnóstwo gaf w świecie, którego w ogóle nie знаła. Dopiero miłe i serdeczne zaproszenie od lady Langdon, dodało jej otuchy.

— To cudowne! — wykrzyknęła siostra markiza, gdy zostały same. — Byłam przygnębiona i samotna przez ten ostatni rok i tak się uradowałam, gdy dostałam od brata pilną wiadomość o jego zamiarach.

Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła:

— Przede wszystkim musimy kupić dużo wytwornych toalet, w których będziesz królową każdego balu.

Ponieważ mówiła to szczerze i nie ulegało wątpliwości, że była zadowolona z pomysłu brata, Hermia zapomniała o swoich obawach i uprzedzeniach.

Rankiem następnego dnia wyruszyła z lady Langdon do sklepów na Bond Street. Sezon dobiegał końca i krawcy nie mieli już tak wiele pracy, więc na prośbę lady Langdon zgodzili się przygotować suknie dla Hermii niemal z dnia na dzień. Jeden z nich właśnie wykańczał garderobę dla panny młodej. Oddał ją Hermii, gdyż do ślubu było jeszcze wiele czasu, więc zdąży wykonać drugą. Kupiły suknie, kapelusze, pantofle, rękawiczki, szale, futra i torebki i Hermia czuła, że od tego wszystkiego kręci jej się w głowie. Nie miała siły dłużej wyliczać, co jej jeszcze potrzeba i, choć wydawało się to śmieszne, była zmęczona. Miary, które ją czekały, okazały się bardziej wyczerpujące niż konne przejażdżki czy taniec.

Już na pierwszym balu odniosła taki sukces, jakiego życzyła jej matka. Miała więcej partnerów niż było tańców. W ciągu pięciu dni bawiła się na trzech balach, dwóch przyjęciach i lunchach, wydawanych przez lady Langdon lub kogoś ze znajomych. Poza tym zaproszono ją na dwie kolacje. Hermia zbierała życiowe doświadczenia, choć wszystko działo się jakby w półśnie.

Teraz, idąc korytarzem ozdobionym kilkoma wspaniałymi malowidłami i cennymi meblami, pomyślała, że od przyjazdu do Londynu nie rozmawiają swobodnie z markizem.

Gdy przyjmowali gości w domu, jako gospodarz siedział u szczytu stołu i zgodnie ze zwyczajem po obu stronach miał niewiarygodnie piękne, dystyngowane i mądre mężatki. Jeśli towarzyszył obu paniom na bal, natychmiast zniknął za drzwiami pokoju karcianego albo, tak jak zeszłej nocy, zaraz wychodził.

Kiedyś Hermia, wracając do domu tylko z lady Langdon, zapytała ciekawie:

— Jak pani myśli, dokąd poszedł j ego lordowska mość?

— Drogie dziecko, nie wolno zadawać takich pytań — zaśmiała, się cicho lady Langdon. — Jak sobie możesz wyobrazić, mojego brata otaczają tłumy pięknych kobiet, które modlą się o to, żeby Favian spędził z nimi trochę czasu.

Po chwili, sądząc, że popełniła niedyskrecję, powiedziała spieszenie:

— Niestety, Favian szybko się nudzi i ciągle szuka nowych znajomości, które bawiłyby go i zaskakiwały.

Hermia pomyślała, że mogła się tego spodziewać. Jeśli w tej chwili markiz nie bawił się najlepiej, to prawdopodobnie z powodu jej kuzynki. Marilyn spotkała się z nim na dzień przed jego wyjazdem i gdy tylko przekroczyła próg plebanii, Hermia wiedziała, że była zła. Ubrana w suknię z kwiecistego muślinu, uszytą według najnowszej mody, i kapelusz z szerokim rondem, obsyty koronką i ozdobiony różowymi różami, wyglądała bardzo elegancko. Lodowatym tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co do jej uczuć, powitała Hermie, a ona otworzyła jej drzwi do salonu, gdzie markiz odpoczywał, siedząc w fotelu przy oknie.

Marilyn przesunęła się obok niej pogardliwie, swoim zachowaniem dając kuzynce do zrozumienia, co myśli o plebanii i jak bardzo współczuje każdemu, zwłaszcza markizowi, kto jest zmuszony pozostawać w takim ponurym i pozbawionym wygód miejscu. Hermia zamknęła za nią drzwi i pobięła na górę do swojego pokoju. Zastanawiała się, czy markiz poprosi Marilyn o rękę teraz, czy też zrobi to później.

Odwiedziny przeciągały się i Hermia nie zauważyła, kiedy Marilyn odjechała. Ale następnego dnia, ze sposobu, w jaki markiz żegnał się z jej rodzicami, zrozumiała, że zamierzał powrócić. Co znaczyło, że chciał poślubić Marilyn.

— To najmilszy i najbardziej hojny mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam! — powiedziała z uznaniem niania po jego wyjeździe.

Hermia wiedziała, że niania otrzymała od markiza sowitą zapłatę. Od niani dowiedziała się też, że w komórce pozostał zapas win, nie pochodzący; one z pałacu, ale z domu markiza. Na plebanie przywiózł je jego sekretarz, który przyjechał odebrać polecenia związane z wizytą Hermii w Londynie.

— Ładnie ze strony markiza, że o tym pomyślał — zwróciła się do niani.

— Bardzo ładnie, ale nie ma powodu, byś powtarzała to swemu ojcu. Niech myśli, że wino pozostało po pobycie jego lordowskiej mości. Bez pytań nie ma kłamstwa!

Zanim Hermia wyjechała do Londynu, zorientowała się, że markiz musiał wydać Jakże inne polecenia, ponieważ jedzenie na plebanii było tak wyśmienite jak za jego pobytu w ich domu. Była pewna, że to rezultat konszachtów niani i Hicksona. Widząc wszakże, że ojciec wygląda o wiele lepiej, a z twarzy matki zniknęły głębokie zmarszczki, nic nie mówiła.

Teraz, gdy podeszła do drzwi pracowni, wyraz jej oczu powiedziałby każdemu, kto ją znał, że jest zdenerwowana i przestraszona.

Otworzyła drzwi. Markiz siedział za biurkiem i pisał.

— Czy... czy mogę wejść na chwilę? A może jest pan... zbyt zajęty? — zapytała.

Markiz usłyszał drzenie w jej głosie. Odłożył pióro i podniósł się, mówiąc:

— Jak się masz, Hermio? Pozwól sobie powiedzieć, że masz wspaniałą suknię.

— Chciałam... chciałam zapytać o pańskie zdrowie — odparła Hermia — i upewnić się, że nie pracujesz za wiele.

— Jeśli zamierzasz się o mnie troszczyć tak samo jak Hickson, to chyba powinienem spakować manatki i opuścić Anglię!

— Nie może pan oczekiwać, że... że nie będziemy się martwić!

Markiz przeszedł przez pokój i oparł się plecami o kominek, na którym, jak zawsze w lecie, stały świeże kwiaty.

Hermia obserwowała go, dopóki nie przemówił:

— Może usiądziesz i powiesz mi, co cię dręczy?

Hermia przysiadła na krawędzi krzesła splatając dłonie. Nie patrzyła na markiza, ale na stojące za jego plecami kwiaty.

Po chwili rzekł z naciskiem:

— Czekam!

— Ja... ja nie wiem... jak ułożyć w słowa... to co chcę... powiedzieć — wybąkała.

— Zapewne chcesz mi wyjawić, że się zakochałaś. Któż jest tym szczęśliwcem?

Cedził słowa, w jego głosie zabrzmiała oschła, cyniczna nuta, której Hermia dawno już nie słyszała.

— Nie, nie... — powiedziała szybko — nie chodzi o to! To nie dotyczy mnie... Przynajmniej nie tak, jak pan sugeruje.

— W takim razie przepraszam. Myślałem, że pod nieobecność twego ojca chcesz mnie poprosić o zgodę na poślubienie jednego z tych młodzieńców, którzy zeszłej nocy tak cię adorowali.



Nie rozumiała, dlaczego drwi z niej i stara się ją zranić. Zaciśnęła palce jeszcze mocniej i powiedziała tak cicho, że ledwie mógł usłyszeć:

— Proszę... sprawia pan, że jeszcze trudniej... mi to powiedzieć.

— Jeszcze raz cię przepraszam — odparł markiz. — Słucham, nie próbując zgadywać, co masz mi do powiedzenia.

— Na pewno uzna to pan za... niewdzięczność z mojej strony... i dlatego... się boję.

— Strach nie pasuje do ciebie, Hermio. Zawsze myślałem, że jesteś wyjątkowo odważna.

Uśmiechnął się jednym ze swych szelmowskich uśmiechów.

— Jeśli więdmy, diabły i wszystkie niesamowite stworzenia, które ożywiają w ciemną i głuchą noc, nie są ci straszne, nie wierzę, abyś się bała mnie!

— Boję... boję się tego, co sobie... pan pomyśli.

— Dlaczego to ma być takie okropne? — zainteresował się.

Nie odpowiedziała. Nieoczekiwanie markiz odezwał się cicho i miękko:

— Miałem nadzieję, że będziesz tu szczęśliwą a nie pełna obaw i przestraszona jak dziecko.

— Jestem szczęśliwa! To cudowne przeżycie tańczyć z tyloma niezwykłymi ludźmi i mieć takie piękne suknie!

— Więc co się stało?

— Pańska siostra była... tak dobra, że... że postanowiła kupić mi dwie nowe toalety na bal, który odbędzie się pod koniec przyszłego tygodnia.

Odetchnęła głęboko:

— Proszę... bardzo proszę... — mówiła dalej — nie myśleć, że to niewdzięczność z mojej strony, ale... czy mógłby pan, zamiast wydawać pieniądze na suknie dla mnie... podarować kilka ubrań... Peterowi?

Nie śmiała spojrzeć na markiza, lękając się, że go rozgniewała, powiedziała tylko błagalnym tonem:

— Nie kosztowałyby to wiele więcej, a... mnie zupełnie wystarczy to, co już mam. Wiem, że... Peter dałby wszystko, aby... wyglądać tak jak... pan.

Markiz wciąż milczał. Hermia podniosła wzrok. W jej spojrzeniu czaił się strach, że uzna ją za niewdzięczną i zachłanną.

— I ty bałaś się mnie o to prosić?

— Tak. Wiem, że to chciwość i niewdzięczność po tym wszystkim, co pan dla mnie zrobił, ale... nie chciałabym, żeby Peter czuł się... odrzucony, a ponieważ papa z ogromnym wysiłkiem zdołał go wysłać do Oxfordu.. nigdy nie było go stać na rzeczy, które otrzymywali jego przyjaciele.

— Ja też byłem w Oxfordzie i rozumiem go. Sam zajmę się sprawą Petera.

Hermia podskoczyła.

— Naprawdę... naprawdę?— zawołała radośnie. — Och, dziękuję... dziękuję!

Przerwała, a po chwili zapytała zmienionym głosem:

— Czy... czy nie obraziłam pana?

— Chcesz, żebym ci ciągle powtarzał, że jestem twoim i twojej matki dłużnikiem? Doktor powiedział mi dzisiaj rano, że wszystko jest w porządku i że zaszkodzić mi może tylko ponowne uderzenie w to samo miejsce.

— W takim razie musi pan uważać! Proszę obiecać mi, że będzie pan ostrożny.

— Najpierw Hickson, a teraz ty! — roześmiał się markiz.

— Wciąż się boję, że może pan zostać napadnięty albo podczas przejażdżki w parku, albo nocą podczas powrotu do domu.

— Nic mi nie będzie — zapewnił markiz. — Nie zaprzataj sobie głowy urojonymi zmartwieniami. Powinnaś się bawić i wyglądać tak pięknie jak teraz.

Hermia popatrzyła na niego, zastanawiając się, czy naprawdę tak myśli, czy tylko prawi jej komplementy.

— Dobry Boże! — rzekł markiz, jakby czytając w jej myślach: — Przecież musisz wiedzieć, że stałaś się ubiegłej nocy sensacją w wielkim świecie i że moja siostra jest tobą zachwycona!

— Ona jest bardzo, bardzo miłą ale proszę niech pan nie zapomni powiedzieć jej, że... że nie potrzebuję... więcej sukien?

— Wątpię, czy mnie posłucha. Zresztą powiedziałem ci, że ja się zajmę Peterem.

— Ale... nie chciałam... To nie miał być... dodatkowy wydatek.

— Zdaje się, że pamiętam, jak mi mówiłaś, że pieniądze szczęścia nie dają a dobra materialne nie są ważne.

— Cytujesz moje słowa, panie, zmieniając ich sens. Zrobiłaś już tyle dla mnie i mojej rodziny... wstyd mi brać... więcej i wiem, że tata i mama czuliby to samo.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś zbyt dumną czy tak? Ale ja też mam swoją dumę i nie zgadzam się, by moje życie wyceniano na kilka sukien i bal, który, gdybym o tym pomyślał, też mógłbym wydać.

Hermia milczała. Markiz powiedział ostro:

— Nie wtrącaj się! Uwielbiam robić plany i nie pozwolę, by zniszczyły je wojowniczo nastawione młode damy, które mają odmienne zdanie niż ja.

Hermia roześmiała się.

— I znowu próbuje pan mnie przestraszyć! Ale już się nie boję! Przecież diabeł był kiedyś archaniołem, który spadł z niebieskich wysokości, a teraz najwyraźniej próbuje tam powrócić po Jakubowej Ejrabinie.

— Ja nie jestem aniołem — zaprzeczył markiz — i dobrze mi z tym. Więc przestań robić ze mnie świętego!

— Nie muszę. I bez mojej pomocy nad głową pana jaśnieje aureola, a z ramion wyrastają skrzydła.

— Jeśli tak, to na skutek twoich czarów odprawianych nade mną albo dzięki magicznym lekom, które wypijałem w twoim domu, i zaklęciom czającym się w każdym zakamarku plebanii!

— Co za wspaniała myśl! — wykrzyknęła Hermia. — To są właśnie dobre czary, czary, które przynoszą szczęście.

— To interesujące! — odparł markiz. Hermia nie miała już nic więcej do powiedzenia, więc jeszcze raz podziękowała i pobiegła do swego pokoju napisać list do Petera. Markiz był bardzo miły i czuła, że już do końca dnia otaczać ją będzie złota poświata.

Kiedy zeszła na dół ubrana w modną piękną suknię, która, miała nadzieję, będzie mu się podobała, ujrzała Hicksona wychodzącego z pałacu z wieczorową peleryną markiza przerzuconą przez ramię.

Zdziwiona, zatrzymała go i zagadnęła:

— Dobry wieczór, Hicksonie. Czyjego lordowska mość jest w salonie?

— Nie, panienko. Jego lordowska mość nie zostaje dzisiaj na kolacji.

— Nie zostaje na kolacji? — zdziwiła się Hermia. — Przecież wieczorem jest przyjęcie.

— Tak, panienko, ale jego lordowska mość już dawno obiecał, że zje kolację w Carlton House, ponieważ jutro jego królewska wysokość wybiera się do Brighton.

— Rozumiem, ale mam nadzieję, że później przyjedzie na bal.

— Pewnie nie zabawi tam długo, ale bez okrycia mógłby złapać katar — odparł Hickson tonem, który bardzo przypominał jej nianię.

— Jego lordowska mość czuje się znacznie lepiej — uśmiechnęła się Hermia. — Sam mi to dziś powiedział.

— Wszystko jedno i tak powinien bardziej dbać o siebie — nie ustępował Hickson.

Ucieszona, że znalazła w kamerdynerze wdzięcznego słuchacza, powiedziała:

— Obawiam się, że ci ludzie, którzy go napadli, spróbują znowu.

— Masz rację, panienko — zgodził się Hickson. — Lecz jego lordowska mość nigdy o sobie nie dbał i kiedy mówiłem mu, że pan de Ville będzie próbował go zabić i że kiedyś mu się powiedzie, tylko się roześmiał. Hermia krzyknęła cicho.

— Naprawdę myślisz, że pan de Ville będzie próbował go zabić?

— Tak. Gdy pan Roxford spróbował raz, spróbuje i drugi. Przypomnisz sobie moje słowa, panienko!

— Jak możemy go powstrzymać? — zająknęła się Hermia.

— Proszę spróbować porozmawiać z jego lordowska mością. Mnie on nie słucha, nazywa „starym panikarzem”, ale trudno zaniepokoić się dopiero wtedy, gdy ktoś zginie. Trzeba coś zrobić, zanim do tego dojdzie.

— Oczywiście, ale co?

— Nie wiem, panienko — westchnął Hickson — naprawdę, nie wiem! W nocy kładę przy jego łóżku naładowany pistolet, ale on mówi, że w sypialni może się znaleźć tylko pajak albo ktoś, kto wpadnie przez okno.

Hickson mówił to tonem człowieka skrzywdzonego, ale Hermia wiedziała jak bardzo był przywiązany do markiza. Tak jak i ona bał się, że nieudany atak się powtórzy.

— Czy jego lordowska mość zabiera ze sobą pistolet na spacer?

— Proponowałem mu, ale odparł, że to psuje kształt sylwetki! — Ale gdy wyrusza w dłuższą podróż, zawsze ma jeden w powozie. — Tylko że ci, którzy napadli jego lordowska mość, nie chcieli jego pieniędzy, chcieli jego życia! — dodał po chwili Hermia krzyknęła przerażona.

Nie mogli dłużej rozmawiać, bo z miejsca, gdzie stali, dostrzegła pierwszych gości zaproszonych na kolację. W salonie czekała już lady Langdon, ale dla Hermii, wraz z nieobecnością markizą zniknęła cała radość z tego wieczoru. Zdziwiła się, że tak bardzo jej na nim zależało. Stąpając po miękkim dywanie, zrozumiała, że choć wydawało się to nieprawdopodobne, kocha markiza.

Później nie mogła sobie przypomnieć ani o czym rozmawiała podczas kolacji, ani nawet przy kim siedziała. Wszystkie jej myśli krążyły wokół mężczyzny, w którym się zakochała, a który był dla niej tak samo nieosiągalny jak księżyc. Nienawidziła go przecież, gdy ją całował, nazywała go nikczemnikiem, obawiała się jego sarkazmu i cynicznego spojrzenia.

Teraz pojęła, że to miłość zaprowadziła ją do domu wiedźmy, by mogła go ocalić.

Tylko miłość mogła dodać jej tyle siły, żeby, przenieść tak ciężkiego człowieka jak markiz przez i las, ku wolności.

Jakże była głupia, nie rozumiejąc, dlaczego tak cieszy ją obecność rannego na plebanii. Kiedy, za jej namową, nakłonił hrabiego, by zbudował skład drewna, powinna była wiedzieć, że to, co do niego czuje, to nie tylko wdzięczność, lecz miłość. Jak mogła nie dostrzec, że pod maską cynizmu kryje się uczuciowy, hojny, wrażliwy i wyrozumiały człowiek? To nie czary zmieniły wszystko i uczyniły atmosferę na plebanii jeszcze szczęśliwszą i bardzo podniecającą, ale miłość do człowieka, któremu uratowała życie. „Naturalnie, że go kocham”, pomyślała. Mężczyźni, których poznała i którzy prawili jej komplementy, należeli jakby do innego, nierzeczywistego świata. Wydawali się raczej postaciami z książek niż ludźmi z krwi i kości. Tylko markiz był prawdziwy, tak prawdziwy, że od chwili kiedy go poznała wypełniał sobą wszystkie jej myśli, cały umysł i całe serce. Zdrowy rozsądek mówił jej, że markiz nie dla niej, że zamierza poślubić Marilyn. Z początku wcale tak nie uważała, ale gdy stryj postanowił wybudować skład drewna, upewniła się, że zawarł z markizem porozumienie, choć może nie ujęte w słowa. Markiz otrzymał to, o co prosił, ponieważ hrabia chciał zjednać sobie tak znakomitego zięcia.

— Kocham go! — powiedziała sobie Hermia po przyjeździe na bal do jednego z najznacześniejszych i najbogatszych londyńskich domów.

Wytworzone toalety, kosztowna biżuteria i wspaniałe dekoracje, o których tyle pisała w listach do matki, dziś nie uczyniły na niej wrażenia. Dzisiaj kandelabry nie lśniły tak jasno, a dekoracje wydawały się zbyt jaskrawe. Jak zwykle nie brakowało jej partnerów, ale dziś z trudem słuchała tego, co mówili.

Chciała jak najszybciej wrócić do domu. Wyobrażała sobie właśnie zdziwienie lady Langdon, kiedy jej powie, że nie ma ochoty tańczyć do białego rana, gdy w drzwiach stanęło dwóch mężczyzn.

Hermia tańczyła akurat z lordem Wilchesterem — młodym człowiekiem, który obsypywał ją przesadnymi komplementami.

— Kiedy będę się mógł zobaczyć z panią sam na sam? — zapytał. — Czy wolno mi złożyć pani jutro wizytę?

— Nie wiem, co będziemy jutro robić — wymijająco odparła Hermia.

— Taką samą odpowiedź otrzymałem wczoraj i przedwczoraj. Muszę pani wyznać coś, co mogę powiedzieć tylko, gdy zostaniemy sami.

Zacisnął palce na jej dłoni, aż uścisk zaczął sprawiać ból. Hermia domyśliła się, że chce poprosić ją o rękę. Przeszło jej przez myśl, że związek z tak bogatym i świetnym młodzieńcem ucieszyłby rodziców i, oczywiście, lady Langdon. Lecz gdy spojrzała mu głęboko w oczy, wiedziała, że choćby błagał ją sto lat, nie zostanie jego żoną.

— Lord Wilchester poświęca ci wiele uwagi — powiedziała ostatniej nocy siostra markiza. — Podbiłaś jego serce. Chciałabym mieć nadzieję, że ci się oświadczy, ale boję się, że to marzenie. Hermia nie odpowiadała.

— Lord Wilchester to jeden z najbardziej uroczych młodych ludzi, jakich znam. Posiada majątek w Oxfordshire i zupełnie niezwykły dom w Londynie.

Westchnęła.

— Każda ambitna matka stara się go złowić dla swej córki. Myślę jednak, że jeśli się ożeni, to zapewne z jedną z córek księcia Bedforda.

Hermia nie zastanawiała się nad tym więcej, nie potrzebowała słów, żeby odgadnąć zamiary lorda Wilchestera. „Powinnam go przyjąć, by ucieszyć tatę i mamę”, pomyślała.

Podniosła wzrok na wchodzącego do sali księcia regenta i podążającego za nim markiza. Szczęśliwą że go widzi, zapomniała o wszystkim. Zapomniała o lordzie Wilchesterze i o tym, co przed chwilą powiedział. Nagle usłyszała jego głos, dobiegający jakby z bardzo daleka:

— Pytałem panią o coś!

— Przepraszam... przepraszam — powiedziała szybko. — Nie... nie usłyszałam, co pan mówił.

Znów spojrzała na markiza. Rozmawiał z panią domu i zauważyła, że rozglądał się po sali, jakby jej szukał. Powiedziała sobie jednak, że jeśli, zdaniem lady Langdon, lord Wilchester był dla niej nieosiągalny, tym bardziej odnosi się to do markiza.

Docierały do niej kąśliwe aluzje, które słyszała prawie podczas każdej kolacji.

— Zatrzymała się pani w domu Deverille'a? — wykrzykiwali zazwyczaj jej towarzysze. — Dobry Boże, musi pani być bardzo ważną osobą!

— Dlaczego tak panowie sądzicie? — pytała, z góry znając odpowiedź.

— Deverille'a nigdy nie widuje się z młodymi kobietami. W klubie mówią że nie dostrzega młodej dziewczyny, nawet jeżeli ją zna!

Potem zawstydzeni, szybko poprawiali się:

— Może byliśmy niegrzeczni. Oczywiście, jeśli opiekuje się panią lady Langdon, to zapewne jest pani ich krewną.

Hermia nie zaprzeczała. Coraz częściej czuła na sobie ciekawe i zazdrosne spojrzenia pięknych kobiet, otaczających markiza.

— Panna Brooke jest moim gościem — wyjaśniał im, a wtedy zainteresowanie jej osobą ustępowało miejsca niedowierzaniu i nie skrywanej wrogości.

Hermia nie wyobrażała sobie, żeby tak piękne, pełne czaru istoty nie umiały zatrzymać przy sobie każdego mężczyzny. Obserwując je i widząc, jak zastawiają sidła na markiza, pomyślała że teraz już wie, jak musiało wyglądać kuszenie świętego ; Antoniego. Te zwodnicze syreny przypominały jej wiedźmy z opowieści wieśniaków, które hulały z szatanem po Czarcim Lesie. Trzepotały przed markizem długimi, ciemnymi rzęsami, wykrzywiały w jego stronę czerwone usta, kusiły nieskromnymi dekolantami.

Patrząc na nie, Hermia zrozumiała, że mimo pięknych strojów, dalej jest głupią pospolitą wiejską dziewczyną, którą markiz wziął kiedyś za mleczarkę. „On ciągle mnie za taką uważa”, pomyślała.

Miała wrażenie, że zstąpiła do piekła. To było jej własne, małe piekło, gdzie nie istniała odwzajemniona miłość, a tylko ból tęsknoty i pragnienie tego, co było dalekie i nieosiągalne. Mimo że markiz spoglądał na balu w jej stronę, i uśmiechał się do niej, nie uczynił najmniejszego kroku, żeby podejść i porozmawiać. Kiedy księżę regent opuścił salę, wyszedł wraz z nim.

Lady Langdon i Hermia same wracały z balu do domu i gdy wygodny powóz zaprzężony w dwójkę koni mknął lekko po Piccadilly, lady Langdon powiedziała:

— Wyglądałaś dzisiaj zachwycająco. Księżna stwierdziła, że bez wątpienia jesteś najpiękniejszą panną na sali! Zauważyłam, że lord Wilchester poświęcał ci wiele uwagi.

— Zapytał, czy mógłby mi złożyć jutro wizytę. Lady Langdon wydała cichy okrzyk.

— Czy prosił, żebyście spotkali się sam na sam?

— Tak, aleja wcale nie chcę się z nim spotykać!

— Moje drogie dziecko, nie bądź śmieszna! Czy nie rozumiesz, że on zamierza ci się oświadczyć? W przeciwnym razie nigdy nie prosiłby cię o takie spotkanie.

— Myślę, że może mieć podobny zamiar, ale... ja nie chcę... nie chcę za niego wyjść.

— Nie chcesz wyjść za lorda Wilchestera? — zdziwiła się lady Langdon. — Ależ, moja droga Hermio, musiałaś postradać zmysły! Oczywiście że musisz za niego wyjść! To może być najwspanialszy, najbardziej olśniewający mariaż, o jakim nigdy nie mogłabyś marzyć! Prawdę mówiąc, nie podejrzewałam, że zdobędziesz serce najbardziej nieuchwytnego młodzieńca w całym wielkim świecie!

Przerwała.

— Naturalnie z wyjątkiem mego brata, który poprzysiągł sobie pozostać kawalerem! — dodała półzartem.

— Dlaczego? — zapytała Hermia zmienionym tonem.

— Nikt ci nie mówił? W rok po powrocie z Oxfordu biedny Favian został oszukany przez dziewczynę, której oddał swe serce.

— Co się stało?

— Zupełnie zwyczajna historia, ale nie przewidzieliśmy w porę jej konsekwencji.

— Jakich konsekwencji?

— Favian zakochał się w córce księcia Dorseta.

Była to urocza, naprawdę urocza dziewczyna, ale mnie zawsze się wydawało, że coś ukrywa.

— Nie rozumiem.

— Piękna Caroline wspaniale prezentowała się na koniu, co oczywiście zachwycało mego brata. Sprawiała wrażenie osoby zakochanej w Favianie tak bardzo jak on w niej.

Lady Langdon westchnęła cicho.

— Cała rodzina była zadowolona, Favian właśnie odziedziczył tytuł i stał się tak bogaty i atrakcyjny, że lgnęły do niego wszystkie kobiety, które spotykał na swojej drodze. Uważaliśmy, że dobrze mu robi, gdy się ustatkuje i będzie spędzał więcej czasu na wsi niż w Londynie. Może wówczas zaniecha myśli o wstąpieniu do armii.

— Zaręczyli się? — zapytała Hermia.

— Nieoficjalnie. Obie rodziny życzyły sobie tego. Miał się właśnie ukazać anons w „Gazette”, gdy Favian odkrył, że Caroline go oszukuje, zadając się z człowiekiem, którego, jak się okazało, naprawdę kochała!

Hermia wydała stłumiony okrzyk.

— Nie potrafiłam uwierzyć, że ta dobrze wychowana dziewczyna może pozwolić sobie na romans z mężczyzną z innej klasy społecznej i poniżyć się do tego stopnia, żeby spotykać się z nim potajemnie w posiadłości swojego ojca.

— Kto to był?

— Trener koni jej ojca. Nikogo zatem nie dziwiło, że często towarzyszy Caroline w konnych spacerach. To poniżające, absolutnie poniżające — dodała po chwili lady Langdon wzgardliwym tonem — żeby dama zachowywała się w ten sposób! I choć Favian nigdy o tym nie mówił, wiem, że otrzymał anonim od kogoś, kto musiał być o niego zazdrosny. Zaskoczył Caroline i jej ukochanego w bardzo niezręcznej sytuacji.



— To musiało go dotkliwie zranić — szepnęła Hermia.

— Od tej pory stał się cyniczny. Natychmiast wstąpił do armii i walczył na wyspach i we Francji, aż do zwycięstwa Wellingtona pod Waterloo.

— Nie wiedziałam, że był żołnierzem.

— Księżę Wellington twierdził, że był doskonałym oficerem. I chociaż po powrocie korzystał ze wszystkich przyjemności życia, czułam, że w istocie odnosi się do nich z pogardą.

Hermia też tak myślała.

— I już nigdy się nie zakochał?

— W jego życiu było wiele kobiet, szczerze mówiąc, one nigdy nie dawały mu spokoju! Chcieliśmy, żeby się wreszcie ożenił, wznosiliśmy nawet modły w tej intencji. Zależało nam, aby nasz upiorny kuzyn — Roxford de Ville nie zagarnął kiedyś pieniędzy, które mógłby odziedziczyć jako jedyny męski potomek.

Zapadła cisza, a po chwili lady Langdon powiedziała:

— Sądzę, że mój brat poślubi twoją uroczą kuzynkę. Kiedy powiedział mi, że zamierza zatrzymać się u jej ojca, miałam nadzieję, że przyciągnęła go tam jej osoba, a nie konie twego stryja, których Favian i tak ma pod dostatkiem!

Hermia nie musiała odpowiadać, bo w tej samej chwili powóz zatrzymał się.

— Jesteśmy w domu — oznajmiła lady Langdon — i muszę przyznać, że z radością położyę się do łóżka.

Zmęczone wdrapały się po schodach na drugie piętro. Wysokie pokoje z bogatymi zdobieniami na sufitach robiły ogromne wrażenie. Hermia, znalazłszy się w swojej sypialni, pomyślała, że mimo przyjemności, jaką niewątpliwie sprawiało przebywanie w tak pięknym apartamencie, wystarczyłby jej pokój na poddaszu z żelaznym łóżkiem, byle tylko mogła być z nim.

Kiedy pokojówka, która czekała by pomóc jej rozwiązać suknię, wyszła, Hermia zbliżyła się do okna i odsunęła zasłony.

I znowu, tak jak kiedyś, popatrzyła na wschodzący na niebo księżyc i pomyślała, że tak jak on, tak i markiz jest dla niej niedostępny. „Kocham go, ale on nigdy mnie nie pokocha”. Przypomniała sobie, że jutro przyjedzie lord Wilchester, by poprosić o jej rękę. Przeszedł ją dreszcz.

— Nie mogę wyjść za niego, nie mogę! — powiedziała gniewnie.

I nagle ujrzała siebie z powrotem na plebanii. Do końca życia będzie nosić łagodzące maści i syropy dla pani Burles i innych, podobnych jej pań, albo czekać wieczorami na matkę czy ojca, którzy, chociaż bardzo ją kochają, woleliby już zostać sami. „Powinnam za niego wyjść”, pomyślała.

Znowu spojrzała przez odsłonięte okno na niebo i wydało jej się, że między gwiazdami widzi twarz markiza.

— Niedostępny!

I słyszy jego kpiący, szorstki głos, który ją tak onieśmiał:

— Niedostępny! Niedostępny!

## Rozdział siódmy

Hermia nie mogła zasnąć.

Wierciła się na łóżku przewracając się z boku na bok i myśląc tylko o tym, że jeśli wyjdzie za innego albo wróci na plebanię, nigdy więcej nie ujrzy markiza.

Była o niego niespokojna i choć markiz śmiał się z obaw Hicksona, Hermia, wiedzioną kobiecą intuicją przeczuwała, że każdego dnia, o każdej godzinie grozi mu niebezpieczeństwo.

Zeszłej nocy zapytała na balu swego towarzysza:

— Czy jest wśród gości Roxford de Ville? Popatrzył na nią zdziwiony.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, by nasza gospodyni zaprosiła do domu człowieka o tak nędznej reputacji!

Hermia nie odezwała się, więc po chwili roześmiał się i rzekł:

— W każdym razie w takim towarzystwie de Viile nie czułby się najlepiej.

Popatrzyła na niego wyczekująco.

— Ten człowiek większą część życia spędził w nocnych klubach albo z Cyganami na Hampstead Heath. Ostatnio słyszałem, że przestaje z cyrkowcami, występującymi w Vauxhall Gardens.

— Dlaczego lubi takich ludzi?

Jej towarzysz rozpoczął długi wykład, tłumacząc, dlaczego kuzyn markiza ma tak fatalną opinię i dlaczego jest nielubiany.

Hermia przypomniała sobie, że ojciec opowiadał o dwóch napastnikach, którzy mieli sniade cery i sprawiali wrażenie cudzoziemców, mogli zatem być Cyganami.

Rozważała czy nie przestrzec go, że powinien omijać Hampstead Heath, ale nie wierzyła że jej posłucha. Wybuchnie śmiechem i powie, że sam potrafi się troszczyć o siebie.

„Jeśli Roxford de Ville zdecydował się zabić markiza, uczyni to” — pomyślała.

W poczuciu swojej bezsilności omal się nie rozplakała.

Noc była upalna, więc zrzuciła prześcieradła, wstała z łóżka i pod pretekstem, że chce zaczerpnąć świeżego powietrza, podeszła do otwartego okna. Pragnęła patrzeć na księżyc i rozmyślać o markizie. Musiała przekonać siebie, że jest nie dla niej. Wychyliła się przez okno. Popatrzyła na tylną ścianę domu, tani gdzie były okna od sypialni markiza.

Główna, wspaniała fasada budynku od strony Piccadilly wyglądała ciągle tak samo jak za czasów poprzednich właścicieli. Natomiast tylną raczej

bezkształtną elewację od strony ogrodu markiz urozmaicił balkonami z kutego żelaza. Hermia dowiedziała się, że wszystkie domy stawiane w Brighton, a budowano ich wiele, bo cały wielki świat przenosił się tam w ślad za regentem, miały balkony z kutego żelaza. Te w pałacu markiza budziły podziw swoją wspaniałością a ich wykonanie zdradzało rękę mistrza. Wszystkie okna apartamentów pierwszego piętra wychodziły na ogromne balkony otoczone wysokim na trzy stopy zawiłym ornamentem. Balkony na drugim piętrze, tam gdzie spała Hermia, choć o połowę mniejsze, równie starannie były wykonane. Okna na wyższych kondygnacjach były już tylko bogato zdobione.

Hermia pomyślała, że markiz postąpił bardzo mądrze, tak cudownie wykańczając dom. Znów spojrzała na okna jego sypialni, która mieściła się na tym samym piętrze, co jej pokój, i przeniosła wzrok wyżej. Wydało jej się, że komin przechylił się przez balustradę dachu. Zastanawiała się, czy ktokolwiek zwrócił na to uwagę, rano powie służącym, by weszli na dach i sprawdzili. Wtem komin poruszył się. Hermia zrozumiała, że to jest człowiek, który leży na dachu i spogląda w dół. Musiał być robotnikiem, chociaż nie była to odpowiednia pora na prace na dachu. Po chwili w świetle księżyca dostrzegła, że było tam dwóch ludzi. „Coś się musiało stać” — pomyślała.

— Artyści cyrkowi z Vauxhall Gardens! — krzyknęła nagle, przypomniawszy sobie słowa swojego towarzysza podczas ostatniego balu. Spłoszyła się. Gdy uświadomiła sobie niebezpieczeństwo grożące markizowi, przebiegł ją dreszcz strachu.

„W sypialni może się znaleźć tylko pajak albo ktoś, kto wpadnie przez okno” — usłyszała wyraźnie słowa Hicksona.

— To właśnie zamierza jego kuzyn! — stwierdziła z przerażeniem.

Popatrzyła jeszcze raz i dostrzegła, że jeden z tych ludzi, balansujący na krawędzi balustrady, ma na ramionach przewieszane liny. Drugi opuszczał go powoli, wprost na balkon przy sypialni markiza. Chciała krzyknąć, lecz głos uwiązł jej w gardle. Odwróciła się, otworzyła drzwi, schwyciła peniuar i wybiegła na korytarz, prowadzący na drugą stronę domu.

Od sypialni markiza dzielił ją długi hol. Biegając myślała z rozpaczą że może nie zdążyć i Roxford de Ville, bądź ktoś wynajęty przez niego, wypełni diabelskie zadanie. Zabije markiza, a ona nie zdoła go tym razem ocalić. Przyszło jej do głowy, że morderca prawdopodobnie wejdzie do sypialni i nie chcąc robić hałasu, zasztyletuje markiza w łóżku.

Chociaż łatwiej i bezpieczniej byłoby zastrzelić go z balkonu. Zabójca mógłby przedostać się na dach, zanim ktokolwiek pomyślałby, aby go szukać w tak niezwykłym miejscu. Wszystkie te myśli kłębiły się w jej głowie, gdy z

bijącym jak oszalałe sercem, biegła po miękkich dywanach, mijając sypialnię lady Langdon i inne pokoje dzielące ją od apartamentu markiza. Wiedziała, gdzie mieści się jego sypialnia. Lady Langdon, oprowadzając ją kiedyś po domu, wskazała na pokój markiza, mówiąc:

— To apartament pana domu. Sypiał tu mój ojciec, dziad i pradziad. Jedyne miejsce w pałacu, którego Favian nie zmienił. Pozostawił je nietknięte, takie jakie kochałam i jakie zapamiętałam z dzieciństwa.

Był to olbrzymi, wspaniały pokój z oknami wychodzącymi na ogród i na tę stronę domu, skąd roztaczał się widok na Green Park. Zdaniem Hermii największe wrażenie robiło imponujące łóżce z baldachimem z karmazynowego aksamitu i oparciem z wielką kolorową repliką herbu markiza.

To prawdziwie królewskie łóżce mogło się stać teraz łóżem śmierci. Biegła szybko, coraz szybciej. Wreszcie zatrzymała się i otworzyła drzwi.

W pokoju panowały ciemności, rozpraszane jedynie światłem księżyca wpadającym przez okno. To właśnie okno wychodziło na ogród i kiedy Hermia zbliżyła się do łóżka żeby obudzić markiza, zobaczyła nogi człowieka schodzącego na balkon.

Na chwilę zgasły rozsiane na niebie gwiazdy. Nie mogła złapać tchu, nie była w stanie wymówić słowa.

— Mój... panie! — szepnęła, lecz była tak przestraszona, że sama nie usłyszała swego głosu.

Nie otrzymała odpowiedzi. W świetle padającym od okna dostrzegła cień człowieka. Strach jak sztylet przeszył jej ciało. Szepnęła znowu:

— Mój... panie! Mój... panie...! Obudź się!

Spał mocno. Wyciągnęła rękę, by nim potrząsnąć, i natrafiła na twarde, zimny przedmiot leżący na stoliku. Zacisnęła na nim palce, zanim umysł pojął, że to pistolet, który, jak mówił Hickson, zawsze leżał nabity przy łóżku. Podniosła go, z przerażeniem spoglądając na okno. Mężczyzna wyswobodził się z już lin, po których zsunął się na balkon. Coś błysnęło w jego dłoni. Hermia zorientowała się, że to sztylet.

Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyła się zastanowić, była tylko świadoma niebezpieczeństwa grożącego śpiącemu wciąż markizowi. Ścisnęła mocniej pistolet, skierowała go w stronę napastnika i pociągnęła za spust. Rozległ się ogłuszający huk, od którego o mało nie pękły jej bębunki w uszach. Mężczyzna w oknie krzyknął przeraźliwie. Hermia zamknęła oczy. Po chwili otworzyła je drżąc na całym ciele. Ujrzała tylko księżycowy blask, rozlewający się po pokoju. Spojrzała na łóżko — było puste. Podniosła wzrok i zobaczyła

markiza, stojącego w złotym świetle wydobywającym Się z otwartych drzwi do drugiego pokoju.

Nie mogła uwierzyć, że tam jest, że nie spał, jak przypuszczała. Rzuciła pistolet na łóżko i podbiegła do niego.

— Chciał... chciał cię zabić — krzyknęła rzucając mu się na szyję. — On... chciał cię... zabić!

Markiz otoczył ją ramieniem. Hermia, wiedząc, że teraz jest bezpieczny, ukryła mu twarz na piersi i wybuchnęła płaczem.

— On... opuścił się z da... z dachu na linie... Zobaczyłam go i... pomyślałam, że... nie zdążę na... i on cię zabije, gdy... będziesz spał.

Wypowiadała bezładnie słowa a szloch wstrząsał jej ciałem, okrytym cienkim peniurem.

— Ale zdążyłaś, Hermio — szepnął markiz. — Jeszcze raz uratowałaś mi życie.

Przez chwilę tulił ją do siebie, potem rzekł:

— Muszę sprawdzić, co się stało. Nie ruszaj się, dopóki nie wrócę.

Delikatnie posadził ją na łóżku i choć wciąż łkała odszedł.

Długo nie przychodził i nagle zaświtała jej w głowie myśl, że to tylko sen, że w sypialni nie było nikogo i że wszystko jest tylko wytworem jej rozgorączkowanej wyobraźni. Złękła się, że markiz weźmie ją za histeryczkę.

A jeśli to wydarzyło się naprawdę? Jeśli zabiła człowieka, musi ponieść wszystkie straszliwe konsekwencje swojego czynu. Przestała płakać, lecz gdy markiz wrócił z ogrodu, miała jeszcze łzy na policzkach. Zauważyła, że ma na sobie ciemny, długi do ziemi płaszcz, który dodawał jego postaci dostojeństwa.

Podniosła na niego błagalny wzrok. W świetle padającym z salonu dokładnie mógł ujrzyć jej twarz.

— Byłaś bardzo odważna, Hermio — powiedział cicho. — Mój kuzyn, Roxford de Ville, nie żyje. Nikt nie może spaść z takiej wysokości, żeby nie skrócić sobie karku.

— To ja... jago... zabiłam!

— Nie. Tylko go przestraszyłaś. Kula utkwiała we framudze okna, nawet go nie drasnęła.

Słuchała milcząc, jakby nie mogła w to uwierzyć. Markiz otoczył ją ramieniem i delikatnie pociągnął w stronę okna. Zobaczyła linę, którą Roxford de Ville zostawił na balkonie, przygotowując się do wejścia do sypialni. Markiz wskazał miejsce, gdzie trafił pocisk, i Hermia ujrzała wyraźnie w świetle księżyca, że rama rozpadła się w drzazgi.

Poczuła ulgę, więc nie zabiła nikogo, nawet człowieka, który nosił mord w sercu. Wtuliła głowę w ramiona markiza. Odgadł od razu jej myśli: nie będzie musiała składać zeznań i niczego wyjaśniać.

Objął ją mocniej i rzekł:

Chcę, żebyś wiedziała, że nikt nigdy nie dowie się o twoim udziale w tych wypadkach.

Spojrzał za okno.

— Rano znajdą w ogrodzie ciało mojego kuzyna i liny na balkonie tego pokoju. W historii, którą im opowiem, stracił równowagę schodząc z dachu.

Hermia podniosła głowę.

— Wszyscy... wiedzą, że... zamierzał cię... zabić.

— Mogą podejrzewać, ale oficjalnie nie będą mieli żadnych dowodów — ostro odparł markiz. — W wersji dla sądu wspomnę o tym, że uwielbiał wspinać się po dachach i płatać nocne figle, widocznie po wypiciu większej ilości alkoholu poślizgnął się i spadł.

— I... oni w to uwierzą?

— Postaram się, żeby uwierzyli.

— Teraz... teraz jesteś bezpieczny... i nikt nie będzie próbował... cię zabić?

— Mam nadzieję. Wracaj do siebie i udawaj, że o niczym nie wiesz, nie chcę, by zadawano ci jakieś pytania. Rano porozmawiamy.

— Ale... jesteś... bezpieczny?

— Jestem bezpieczny — powtórzył markiz — bo ty mnie uratowałaś.

Spojrzeli na siebie. Ich usta spotkały się, a świadkiem pocałunku był tylko księżyc.

W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że to nie sen. Potem, gdy pocałował ją jeszcze raz, zrozumiała że to zupełnie inny pocałunek niż ten ofiarowany jej przedtem na wiejskiej drodze.

Kochała go. Jej wargi stawały się delikatne i gorące, gdy czuła władczy dotyk jego ust. Wiedziała, że właśnie tego pragnęła najbardziej na świecie, za tym tęskniła o to się modliła. Teraz, gdy ją całował, należała do niego nie tylko całym sercem, ale i całą duszą. Był to pocałunek doskonały, dokładnie taki, jakiego pragnęła a nawet milion razy wspanialszy. Czuła, że światło księżyca przeszywa ją srebrzystym strumieniem, a gwiazdy spadają z nieba, aby błyszczeć na jej piersi i połączyć jej usta z ustami markiza. To było uczucie cudowne i pełne ekstazy, niewiarygodne i porywające. Gdyby w tej chwili umarła, trafiłaby do nieba i nigdy by już nie musiała wracać na ziemię. Przysunęła się jeszcze bliżej. Markiz podniósł głowę i powiedział dziwnie zmienionym głosem:

— Idź do swojej sypialni i zapomnij o tym, co się stało! Nikt nie powinien wiedzieć, że dziś w nocy byłaś w moim pokoju.

Gdy ją pocałował, uczucie szczęścia, przepełniające całą jej istotę, ośwładnęło ją z taką siłą że nie potrafiła wydobyć głosu.

Prowadził ją przez pokój do otwartych drzwi a ona szła jak we śnie.

— Zrób, jak ci powiedziałem — polecił i delikatnie popchnął ją ku wyjściu.

Zanim ochłonęła, zamknął drzwi. Została na korytarzu sama. Nie umiała się skupić, emocje, których ostatnio doświadczyła, ogłuszyły ją. Miała wrażenie, że usta markiza wciąż spoczywają na jej ustach.

Nieprzytomnie szła korytarzem, znajdując powrotną drogę w blasku świec tłących się w srebrnych kandelabrach, których nie zauważyła, gdy biegła markizowi na ratunek. Dotarła wreszcie do sypialni. Otwarte okno i zagląający przez nie księżyc uświadomiły jej, że scena, którą niedawno tu ujrzała była najzupełniej prawdziwa. Wprawdzie markiz jeszcze nie spał, tylko siedział w drugim pokoju, ale był bezbronny i kuzyn mógł go łatwo zasztyletować.

Hermia szybko położyła się do łóżka i zamknęła oczy. Potrafiła myśleć tylko o tym, że markiz ją pocałował. Nic innego nie miało teraz znaczenia.

Obudziła ją jak zwykle jej pokojówka. Weszła i postawiła przy łóżku gorącą czekoladę, którą Hermia piła zawsze przed śniadaniem. Po chwili tonem, który świadczył o jej zdenerwowaniu, powiedziała:

— Ach, panienko! Nie wyobraża sobie panienska, co tam się dzieje na dole! Wszyscy są strasznie poruszeni!

— Co się stało? — zapytała Hermia udając obojętność.

— Kuzyn jaśnie pana hrabiego spadł z dachu. Znaleźli go martwego w ogrodzie.

— To straszne! A co robił na dachu?

— Pan Hickson mówi, że artyści cyrkowi, ci którzy występują w Vauxhall Gardens, nauczyli go tych sztuczek.

Hermia uśmiechnęła się lekko, słuchając paplaniny pokojówki. Hickson był jedyną osobą, która mogła odgadnąć prawdę, ale nawet on nie przypuszcza, że była w to zamieszana. Czekwała, aż pokojówka przygotuje kąpiel, lecz ona powiedziała:

— Ach, panienko, o mały włos bym zapomniała: jaśnie pan prosi, aby ani jaśnie pani, ani panienska nie schodziły na dół przed lunchem. Ciało pana de Ville'a zostanie zabrane, gdy tylko przyjedzie przedsiębiorca pogrzebowy. Jaśnie pan życzy sobie, aby obie panie do tego czasu pozostały na górze.

Podeszła do drzwi, mówiąc:



— Przyniosę panience śniadanie, jak tylko będzie gotowe, ale wydaje mi się, że jaśnie pani wciąż śpi.

Hermia opadła na poduszki z westchnieniem ulgi. Chociaż markiz zapewniał, że Roxford de Ville nie żyje, w zakamarkach jej świadomości czaił się lęk, że może jest tylko ranny, że wyzdrowieje i znów będzie usiłował zabić kuzyna. Słowa pokojówki uspokoiły ją. Teraz markiz jest bezpieczny i nie musi się już żenić, może jak dawniej cieszyć się wolnością. Marilyn będzie rozczarowana. Markiz nie zechce żenić się z jej kuzynką, ale również nie będzie sobie zaprzętał głowy małżeństwem z nią. Pocałował ją, prawda, ale był to pocałunek wdzięczności. Gdyby ją kochał powiedziałby jej o tym. On zaś odesłał ją do łóżka i nakazał, by nigdy nie myślała ani nie mówiła o wydarzeniach dzisiejszej nocy.

— Nie powiem — przyrzekła sobie Hermia — ale i nigdy... przenigdy nie zapomnę, że... mnie pocałował. Czy nigdy już nie będę czuła tego samego do... innego mężczyzny?

Przypomniała sobie, że lord Wilchester zapowiedział na dzisiaj swoją wizytę. W tej sytuacji uczyni rozsądnie, jeżeli odwoła jego odwiedzin. Wtedy przeraziła ją inna myśl. Roxford de Ville miał fatalną reputację, ale był członkiem rodziny markiza, więc markiz i jego siostra będą musieli nosić po nim żałobę. To oznaczało, że przynajmniej do czasu pogrzebu, lady Langdon odsunie się od uciech towarzyskiego życia. Ona zatem powinna wrócić do domu. Wydawało jej się, że nastąpiło zaćmienie Słońca, że ziemię spowiła ciemność. Pożegna się z markizem, pojedzie do domu i to będzie koniec wszystkiego.

— Nie zniosę tego! Jak mogę go... opuścić?! — wykrzyknęła, choć rozumiała, że nie może inaczej postąpić.

Zszedłszy przed lunchem na dół, dowiedziała się od służby, że lady Langdon odwołała wieczorne przyjęcie.

Markiza nie było. Siedząc w olbrzymiej jadalni i słuchając lady Langdon, Hermia pomyślała, że właśnie rozpoczęła powrotną drogę na plebanię. Lady Langdon rozmawiała o dziwnym upodobaniu Roxforda de Ville do nocnych wędrówek po dachach. Nie przyszło jej jednak do głowy, że mógł mieć ku temu ważny powód.

— Zawsze był nieobliczalny — mówiła swym zwykłym tonem. — Każdy oprócz Roxforda bałby się bratać z cyrkowcami albo z Cyganami!

— To rzeczywiście dziwne — mruknęła Hermia.

— Gdy rano widziałam się z Favianem, twierdził, że Roxford musiał za dużo wypić i dlatego nie mógł utrzymać się na nogach. Zważywszy jego zachowanie

w ostatnim czasie, powinniśmy Bogu dziękować, że nie zginął w znacznie bardziej kompromitujących okolicznościach!

— Tak.., to prawda — przytaknęła Hermia.

— Ten wypadek oczywiście — pokrzyżował nasze plany. Muszę się dowiedzieć, jak Favian zamierza spędzić dzisiejszy wieczór. Nie chcę rezygnować z większej liczby przyjęć niż to absolutnie konieczne dla zachowania pozorów. Nikt, a przynajmniej nikt z krewnych, nie będzie opłakiwać Roxforda.

Podniosła się, by opuścić jadalnię, a gdy wyszły na korytarz, zwróciła się do kamerdynera:

— Gdy jaśnie pan hrabia wróci, powiedz mu, że panna Brooke i ja jesteśmy w bibliotece.

— Dobrze, proszę jaśnie pani.

Kiedy indziej Hermia czułaby się szczęśliwa, mogąc szperać wśród książek w poszukiwaniu nowej lektury. Dziś nie umiała się tym cieszyć. Z niecierpliwością czekała powrotu markiza i starała się odgadnąć, jakie przyniesie wiadomości. Rozpaczliwie pragnęła go zobaczyć, a jednocześnie przenikało ją uczucie wstydu. Pocałunek, który przed nią otworzył niebo i zaprowadził ją prosto przed Boże oblicze, dla niego był tylko wyrazem wdzięczności.

— Nie wolno mi — tłumaczyła sobie — wprawić go w zakłopotanie. — Jeśli rzucę mu się na szyję, jeśli okażę mu swą miłość, postąpię tak, jak te wszystkie kobiety, które płaszcą się przed nim i którymi on tak szybko się nudzi.

Wiedziała, że to będzie trudne. Lady Langdon odłożyła pismo.

— Nie mam nic szczególnego do roboty — powiedziała — więc chyba trochę się zdrzemnę. Późno poszłyśmy spać i czuję się zmęczona. Powtórz Favianowi, gdy wróci, że jeśli ma coś ważnego, może mnie zbudzić, w przeciwnym razie zejść dopiero na herbatę.

— Powtórzę — obiecała Hermia. Otworzyła drzwi przed swoją opiekunką lady Langdon powiedziała:

— Nie zapomniałaś o spotkaniu z lordem Wilchesterem? Wątpię, by przyjechał przed trzecią bo dopiero wtedy jest odpowiednia pora na takie wizyty.

Hermie ogarnął lęk. Nie mogła się z nim zobaczyć. Znalazłaby się w bardzo kłopotliwej sytuacji, gdyby poprosił ją o rękę, a ona musiałaby odmówić. Poczekała, aż lady Langdon wejdzie na górę do sypialni, i nacisnęła przycisk dzwonka.

Natychmiast zjawił się kamerdyner.

— Około trzeciej spodziewam się wizyty lorda Wilchestera. Jeśli przyjedzie, powiedz mu, proszę, że dziś nie ma mnie w domu dla gości.

— Dobrze, panienko, powiem...

Nie skończył, bo w otwartych drzwiach stanął markiz. Wyglądał niezwykle elegancko; był ubrany jeszcze staranniej niż zazwyczaj. Na sam jego widok serce skoczyło jej z radości i pokój rozjarzył się tysiącem świateł.

— Co to? — zapytał. — Komu odmawiasz spotkania?

Hermia milczała.

— Panna Brooke spodziewa się wizyty lorda Wilchestera — wyjaśnił kamerdyner — mam go poinformować, że panienka dzisiaj nie przyjmuje.

— Dobrze, zrób tak — zgodził się markiz. Kamerdyner zamknął drzwi. Markiz podszedł do Hermii. Obserwowała go wielkimi oczami.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Tak... oczywiście.

— Dlaczego nie masz ochoty widzieć Wilchestera?

Jego badawcze spojrzenie zawsze ją onieśmiewało, więc odwróciła wzrok. Kiedy uświadomiła sobie, że markiz oczekuje odpowiedzi, rzekła:

— Ja... ja myślę, że tak... wypada.

— Czy to jedyny powód?

— Nie, nie chcę... nie chcę spotykać się... z nim sam na sam — odparła niechętnie.

— Dlaczego?

Milczała, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi.

— Zeszłej nocy wróciłem do domu, kiedy już spałaś, i znalazłem bilet od mojej siostry. Pisała, że Wilchester poprosił cię o spotkanie, była pewna, że dzisiaj proponuje ci małżeństwo. Czy tego się spodziewasz?

— Tak.

Ta sylaba ledwie wydostała się z jej drżących ust, ale Hermia wciąż nie śmiała spojrzeć na markiza.

— Jest bardzo znaczną i poważaną przez wszystkich osobą w wielkim świecie. Wątpię, czy otrzymasz lepszą propozycję.

Słowa markiza uderzyły w nią jak grom, sprawiając nieznośny ból.

I znowu, jak przy pierwszym spotkaniu, cedził słowa i mówił tym samym, oschłym i cynicznym tonem.

Nie odzywała się.

— I co? Chciałbym wiedzieć, czy go przyjmiesz.

Twoja siostra uważa, że tak powinnam postąpić, ale to... niemożliwe. — .  
Dlaczego? Hermia wstrzymała oddech.

— Ponieważ go... nie kocham.

— I myślisz, że miłość ważniejsza jest niż to wszystko, co on może ci ofiarować? Bezpieczeństwo, pieniądze, pozycję, o którą inne kobiety muszą walczyć?

Hermia zacisnęła palce, aż zbieleły jej kostki.

— Wiem. Pomyślisz, że... jestem bardzo... głupia, ale... ja nie mogłabym wyjść za kogoś... kogo nie kocham.

— A co ty wiesz o miłości? — zapytał markiz. — W tej dziedzinie okazałaś się zupełną ignorantką. Podczas pobytu na wsi upewniłem się, że jestem jedynym mężczyzną, który cię pocałował!

Splonęła się i chciała uciec, zanim zada jej kolejne pytanie. Jednocześnie pragnęła zostać z nim i jak najdłużej.

— I cóż? Dziwne to — mówił dalej markiz — że... nie pokochałaś jednego z najbardziej przystojnych mężczyzn z całego beau monde! Skąd wiesz, że go nie kochasz?

Odpowiedź była prosta, ale Hermia nie mogła jej udzielić. Bała się, że markiz zauważy, jak drży.

Wtedy, tonem jakiego Hermia jeszcze nigdy u niego nie słyszała, powiedział:

— Hermio, ostatni pocałunek był zupełnie inny niż ten pierwszy i nawet mnie wprowadził w nieoczekiwany zachwyt, tak że nie potrafię o nim zapomnieć.

Hermia, zaskoczona, podniosła do góry wzrok. Napotkała jego spojrzenie i już nie mogła oderwać od niego oczu. Markiz zajrzał głęboko w jej duszę i poznał jej tajemnicę.

— Podczas tej nocy zrozumiałem, choć, oczywiście, mogę się mylić, że kochasz kogoś, lecz boisz się do tego przyznać.

Stała nieruchomo z lekko rozchylonymi ustami, z sercem bijącym głośno, nie mogąc wydobyć głosu, mogła tylko spoglądać na niego.

Markiz mówił dalej:

— Oboje byliśmy wówczas pod wrażeniem dramatycznej sytuacji, więc może sprawdzimy, czy nasze uczucia dzisiaj są podobne, a może jeszcze wspanialsze?

Otoczył ramionami Hermie, a ustami odnalazł jej wargi. Przygarnął ją do siebie i pocałował — nie delikatnie ani czule, lecz władczo, jakby chciał się upewnić, że ją zdobył i posiadał bez reszty. Rozpacзлиwa myśl o rozstaniu ustąpiła miejsca niewypowiedzianej radości. Hermii się zdawało, że otworzyło

się przed nią niebo. Ofiarowała mu swoje serce i duszę, tak jak uczyniła to zeszłej nocy. Całował ją, aż obojgu zabrakło tchu, nie byli już sobą lecz stanowili jedność.

Wtedy markiz podniósł głowę i powiedział zmienionym i trochę niepewnym głosem:

— Jesteś moja! Jak mogłaś zwodzić innego mężczyznę perspektywą małżeństwa skoro należysz do mnie od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem?

— Ja... kocham cię! — odparła Hermia. — Kocham cię... i nie ma na świecie innego mężczyzny, tylko ty!

Markiz znowu ją pocałował.

Ucieszyła się, że pragnie ją zdobyć, zawładnąć nią i uczynić swoją ponieważ, jak powiedziała na całym świecie nie było innego mężczyzny oprócz niego. Namiętność, jaką w niej obudził, była tak szalona i gorącą że czuł, jak drży ze szczęścia.

— Kochanie, coś ty ze mną zrobiła? Roześmiał się.

— Znam odpowiedź. Zaczarowałaś mnie! Jestem w twojej mocy i nigdy się z niej nie wyzwolę. Wierzę, że posiadasz magiczną siłę. Opętałaś mnie, kiedy zdjęłaś podkowę mojemu koniowi, czego ja nie potrafiłem zrobić.

Hermia parsknęła cichym śmiechem, podobnym do szloch.

— To nie czary... Po prostu jesteś tak bogaty, że nie musiałeś się sam zajmować równie przyziemnymi czynnościami.

— Czary! — upierał się markiz. — Od początku nie wydawałaś mi się ziemską istotą.

— Wydawało ci się, że jestem mleczarką!

— Chciałem tak myśleć, ale powinienem zrozumieć, że mnie opętałaś i że już ci nie umknę.

Hermia oparła głowę na jego ramieniu.

— Jeżeli jestem czarownicą, to stałam się nią wtedy, kiedy mnie pocałowałeś. Chcę, byś mnie ciągle całował.

Markiz w milczeniu spełnił jej prośbę. „Czyż może być coś bardziej zachwycającego i radosnego niż płomienne uczucia dwojga ludzi” — pomyślała Hermia.

— Nie wierzę, że to... prawda. Ani przez chwilę nie łudziłam się, że... kochasz mnie tak... jak ja cię kocham.

— Gdy przyjechałaś do lasu i tak kiepsko odegrałaś swoją rolę — odparł markiz — zrozumiałem, że to cię szukałem przez całe życie i że nigdy cię nie opuszczę.

Hermia zaczerwieniła się.

— Wiedziałaś, że... kłamię?

— Nie miałem wątpliwości, choć jeszcze wtedy nie wiedziałem, że twoja kuzynka nie siedziałaby przy łóżku umierającej wieśniaczki i nie wyniosłaby rannego człowieka z nawiedzonego przez diabła lasu!

— Ona... ona bardzo chce... wyjść za ciebie.

— Nigdy bym się z nianie ożenił! Zresztą, postanowiłem zostać kawalerem.

— To samo powiedziała mi twoja siostra.

— Niestety wobec czarów jestem bezsilny.

— Nie mów tak. Nie zniosłabym myśli, że próbuję cię złapać albo zmusić do zrobienia czegoś, na co nie masz ochoty.

Markiz przyciągnął ją do siebie.

— Ożenię się z tobą bo tego chcę, i zabiję każdego, kto spróbuje mi ciebie odebrać.

Hermia zastanawiała się przez chwilę.

— Ale... przywiozłeś mnie do Londynu, abym... spotkała tu innych mężczyzn.

Markiz przytulił ją jeszcze mocniej.

— Kochałem cię — powiedział — i wiedziałem, że należysz do mnie, ale dla własnego dobra dałem ci sportową szansę, żebyś mogła wybrać innego.

Zauważył zaskoczenie Hermii.

— Widzisz, kochanie, dawniej myślałem, że wszystkie kobiety są takie same — gotowe się sprzedać zamożniejszemu kupcowi. Pragnęły tylko pozycji, jaką im mogłem dać, a nie mnie jako mężczyzny.

— Chcę ciebie... właśnie ciebie! — szybko odparła Hermia. — Wolałabym, żebyś był zwykłym człowiekiem, nie markizem... Wówczas mogłabym ci pokazać, jak potrafię się o ciebie troszczyć.

Przysunęła się do niego i dodała:

— Wtedy wiedziałbyś, że kocham cię tak, jak mama kocha ojca, i że nie ma nadto nic ważniejszego.

Markiz uśmiechnął się.

— Zauważyłem to, kiedy byłem na plebanii. Nigdy nie widziałem dwojga ludzi, którzy byliby tak szczęśliwi jak twoja matka i ojciec, a gdy zobaczyłem, jacy jesteście biedni i ilu rzeczy musicie sobie odmawiać, byłem przekonany, że umiesz kochać tak samo, ale musiałem się upewnić.

— Przypuśćmy... tylko na chwilę, że... zgodziłabym się wyjść za lorda Wilchestera... albo kogoś... takiego jak on?

— Wtedy odszedłbym — odparł poważnie markiz — bo dowiedziałbym się, iż przypuszczając, że się z tobą nie ożenię, ponad miłość postawiłaś pieniądze i pozycję.

— A teraz... wiesz, że cię... Kocham?— wyszeptała Hermia.

— Najdroższa, masz bardzo wyraziste spojrzenie. Od razu zauważyłem, jak się rozświeciły twoje oczy, kiedy wszedłem do pokoju. Patrzyłaś na mnie inaczej niż na wszystkich innych.

— Ja... ja na początku nie wiedziałam, że cię... Kocham — przyznała się Hermia — dopiero potem zrozumiałam, że to... miłość pozwoliła mi znaleźć cię w domku więdźmy i... to miłość pozwoliła mi wyprowadzić cię na wolność.

— I to miłość sprawiła, że uratowałaś mnie zeszłej nocy.

— Strasznie się bałam, że on ciebie... zabije.

— Lecz ja żyję — powiedział markiz — i teraz nic już nam nie grozi, elfy, wróżki i nimfy wodne, w które wierzysz, czekają, by dać nam swe błogosławieństwo i wskazać drogę do szczęśliwego życia.

Hermia wiedziała, że z niej nie żartuje, i rozkosznie podała mu usta, rozpalając płomień w spojrzeniu markiza.

Przyglądał się jej przez chwilę, zanim powiedział:

— Uwielbiam cię! Kocham wszystko w tobie: twoją dobroć, twoje małe, współczujące serduszko, to, że troszczysz się o wszystkich oprócz siebie, a najbardziej to, że mnie Kochasz. Bo Kochasz mnie, prawda?

— Kocham. Jesteś dla mnie całym światem... niebem, księżycem i gwiazdami i... i nie ma nic, tylko... ty... i ty... i ty...

W głosie Hermii brzmiała namiętna nuta, której markiz nie słyszał wcześniej, więc odnalazł jej usta.

Hermia siedziała na sofie, w objęciach markiza, trzymając głowę na jego ramieniu.

— Teraz, najdroższa, musimy postanowić, kiedy się pobierzemy, robiąc przy okazji jak najmniej zamieszania.

— Naprawdę... naprawdę tego chcesz?

— Przypuszczam, że pragniesz mieć wspaniałe wesele, z wieloma druhami i zastraszającą liczbą tak zwanych „przyjaciół”.

— Nienawidzę tego! Marzę o skromnym ślubie, bez świadków, tylko w obecności papy, mamy i Petera. Nikt nie będzie chichotał ani spoglądał na nas zawistnie w tym dniu.

Markiz oparł twarz o jej policzek.

— Jak możesz być tak doskonała? Nie znam nikogo, kto wypowiedziałby takie słowa.

— To prawda — odrzekła Hermia. — Nie zniosłabym obecności kogoś, kto nienawidziłby mnie albo był wściekły, że żenisz się z kimś tak mało znaczącym jak ja.

Miała na myśli Marilyn.

— Więc powiem ci, co zrobimy. Pobierzemy się w tajemnicy i nikt, poza twoją rodziną, nie będzie o tym wiedział, dopóki nie wrócimy z podróży poślubnej.

— Naprawdę tego chcesz?

— Oczywiście — odpowiedział.

— To będzie... najwspanialsze zdarzenie w moim życiu! — powiedziała Hermia. — I... proszę... czy może to się stać wkrótce?

Markiz roześmiał się.

— Choćby dzisiaj, jutro albo za dwa dni.

Hermia nie powiedziała mu, że to niemożliwe.

Znowu ją całował, a jego pocałunki zaprowadziły ją ku niebiańskiej rozkoszy, gdzie istniała tylko miłość i on.

Matka przystroiła kościół wszystkimi białymi kwiatami, jakie rosły w ogrodzie. Gdy Hermia u boku Petera wkroczyła w drzwi świątyni, wiedziała że choć ławki były puste, towarzyszą jej modlitwy tych, którzy przychodzili tu rozmawiać z Bogiem i teraz zgodnie życzyli jej szczęścia.

Nie widziała markiza już dwa dni, odkąd wyjechała z Londynu pod pretekstem, że jej obecność w tym domu podczas żałoby jest nie na miejscu i najwłaściwszym rozwiązaniem będzie powrót do domu.

— Tak mi przykro, drogie dziecko — zmartwiła się lady Langdon — ale jestem pewną że przekonam mego brata by zaprosił cię znowu, gdy tylko skończy się lato i wszyscy zjadą do Londynu na zimę.

Westchnęła i mówiła dalej:

— Nie będzie tak wesoło jak teraz, ale bale i przyjęcia też będą się odbywać, a ja z przyjemnością się tobą zaopiekuje.

— Była pani dla mnie bardzo, bardzo miła — powiedziała cicho Hermią zmieszana niezręczną sytuacją lady Langdon bowiem nie знаła prawdy.

Markiz twierdził, że gdyby zaprosił jedną kuzynkę na wesele, reszta obraziłaby się na niego do końca życia więc albo zaprosi wszystkich, albo nikogo.

— To samo dotyczy i mnie — odparła Hermia. — Jestem przekonana, że stryj John i ciotka Edith obrażą się i to nie tylko dlatego, że nie zostali zaproszeni na ślub.



— Nie myśl o nich. Jestem pewien, że tak stanowcza młoda osóbka jak twoja kuzynka prędzej czy później znajdzie odpowiedniego męża.

Hermia nie odpowiedziała gdyż nie chciała być niegrzeczna. „Marilyn nie pozna nikogo tak cudownego jak markiz” — pomyślała. Wyobraziła sobie, jak nieszczęśliwą by się czuła, gdyby go straciła. Ale teraz ważne jest tylko to, że zostanie jego żoną i że zawsze będą już razem.

— Czy jesteś pewien, że po ślubie nigdy nie będziesz... znudzony ani...cyniczny? — zapytała.

— Jeśli twoje czarowne zaklęcia nie będą w stanie uchronić mnie przed nudą— odpowiedział — to chyba nie będę miał wysokiego mniemania o twojej magii.

— Chcesz mnie nastraszyć.

— Kocham cię — odparł. — Kocham cię gorąco i zdaję sobie sprawę, że to, co o sobie wiemy, to tylko wierzchołek góry lodowej i że minie przynajmniej wiek, zanim poznamy się i odkryjemy do końca.

Hermia roześmiała się.

— Co więcej, kochanie — mówił dalej mariaż — muszę cię nauczyć jeszcze wielu rzeczy, bo miłość to szeroki temat.

Powiedział to w taki sposób, że Hermia się zawstydzila, ale nie był to ten rodzaj wstydu, jaki czuła przedtem, lecz gorące, wspaniałe uczucie, które w niej pulsowało i sprawiało, że pragnęła, by ją pocałował i całował bez końca, by byli wciąż i wciąż bliżej siebie.

— Kocham cię... kocham — wyszeptała i nie mogła nic więcej powiedzieć.

Kiedy wróciła do domu i oznajmiła rodzicom, że zamierza poślubić markiza, bardzo się zdziwili. Ale gdy przekonali się, jak bardzo go kocha, na plebanii zapanowała radość.

— Właśnie o to zawsze się dla ciebie modliłam, kochanie — powiedziała pani Brooke. — Byłam niemądra, nie zdawałam sobie sprawy, że Bóg słucha moich błagań. Nie powinnam była wątpić, że znajdziesz taką miłość, jaką znaleźli twoi rodzice.

Matka lepiej niż inni rozumiała, że żadne nieporozumienia nie mogą zepsuć dnia ślubu i że dlatego powinien być utrzymany w tajemnicy.

Wkrótce nadeszła z Londynu suknia ślubna i Hermia wiedziała że tylko markiz mógł wybrać coś tak nieskończenie pięknego i tak dokładnie odpowiadającego temu, co chciałyby założyć w tym uroczystym dniu. Suknia była biała, usiana drobnymi diamencikami zawieszonymi na kwiatach jak krople rosy. Razem z suknią markiz przysłał cudowną diamentową koronę,

ułożoną na kształt dzikich kwiatów. Hermia przypuszczała, że była dziełem wróżki.

Niania wkładając jej na głowę biały welon, powiedziała ze łzami w oczach:

— Wyglądasz jak królewna z bajki. Jakbyś przed chwilą wyszła z ogrodu albo z lasu, niczym jedna z tych fantastycznych postaci, o których tyle opowiadałaś, gdy byłaś dzieckiem.

— Mam nadzieję, że bajka stanie się prawdą— odparła Hermia.

Doskonale wiedziała że markiz też tego pragnął.

Peter, wystrojony w ubranie podarowane przez markiza, był tak zachwycony swoim wyglądem, że ledwie dostrzegał obecność siostry.

— Co o tym myślisz? — zapytał ją po przyjeździe. — Twój markiz przysłał po mnie powóz zaprzężony w czwórkę koni! Dostałem od niego także list.

Wstrzymał oddech, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co przeczytał.

— Napisał, że w przyszłym semestrze mogę mieć w Oxfordzie dwa konie do dyspozycji. Poza tym mój nowy szwagier otworzył mi kredyt u swojego krawca, dzięki czemu będę wyglądał niemal tak dobrze jak on!

— Jest cudowny! — miękko powiedziała Hermia.

— Moim zdaniem ty też jesteś cudowna — odparł Peter — i zasługujesz na to wszystko, co dostałaś, nawet na jeszcze więcej!

Mówił to tak serdecznie, że Hermia uśmiechnęła się, a gdy u jego boku weszła do głównej nawy i ujrzała ojca stojącego przy ołtarzu i matkę śpiewającą w pierwszym rzędzie, pomyślała że chyba nikogo nie obdarowano tak wspaniałą rodziną

Kiedy zobaczyła markiza, wydawało jej się, że otacza go lśniąca niebiańska poświata.

Aniołowie śpiewali nad ich głowami i cały kościół wypełniała muzyka miłości.

Gdy pokroili weselny tort, który niania dla nich upiekła, i wypili wspaniałego szampana, przywiezionego przez markiza, ojciec wygłosił krótkie przemówienie. Życzył im, by szczęście, jakie otacza ich w tym momencie, wzrastało i pogłębiało się z każdym rokiem ich wspólnego życia.

Potem Hermia przebrała się w podróżną suknię o kolorze jej oczu, włożyła lekką narzutkę i kapelusz ozdobiony wstążkami i kwiatami tej samej barwy.

Gdy przejeżdżali przez wieś, nie spotkali nikogo.

Markiz zatrzymał się o dwie mile stąd i przybył do kościoła nie zauważony. Dopiero gdy mijali domek pani Burles, Hermia spostrzegła Bena, wyglądającego przez okno. Z pewnością natychmiast rozniesie po wsi wieść, że zaszło coś niezwykłego. Lecz teraz nie miało to już znaczenia. Była mężatką

wyjeżdżała z mężczyzną, którego kochała, żeby spędzić z nim cudowny miodowy miesiąc. Markiz postanowił zawieźć ją najpierw do swego domu na wsi. Chciał jej pokazać nie tylko zgromadzone tam skarby, ale i miejsca które pokochał będąc dzieckiem.

— Lasy i dla mnie wiele znaczą — powiedział — ale nigdy nie zwierzałem się z tego nikomu, oprócz ciebie. Zwykli ludzie nie potrafią tego zrozumieć.

— Tylko czarownice, wróżki i elfy! — odparła z uśmiechem Hermia.

— A diabły? — zapytał.

— Nie mów tak o sobie. Znów jesteś archaniołem, którym byłeś, zanim popadłeś w niełaskę. Teraz nikt nie nazwie cię diabłem.

— Oprócz widzów na wyścigach — zażartował. — Kochanie, żaden mężczyzna na świecie nie był większym szczęściarzem niż ja, skoro mam ciebie!

Hermia nie potrafiła znaleźć słów, które oddałyby jej radość, więc tylko przywarła wargami do jego ust

Tej samej nocy leżała w ogromnym łóżu, w którym od pokoleń sypiali markizowie Deverille. Myśląc o tym, przysunęła się do spoczywającego obok mężczyzny.

— Nie śpisz, najdroższa? — zapytał.

— Nie mogę spać, gdy jestem taka szczęśliwa. Przyciągnął ją do siebie i powiedział:

— Na pewno cię nie zraniłem? Jesteś delikatna i krucha jak kwiat, więc boję się naruszyć to, co jest zbyt doskonałe dla człowieka.

— Uwielbiam cię — odrzekła Hermia — a twoja miłość jest najcudowniejszą... zaczarowaną rzeczą, która mi się przytrafiła... Czuję się, jakby mi urosły skrzydła i jakbym leciała na nich po niebie... w stronę księżyca.

Zamilkła. Potem, chcąc zaspokoić ciekawość markiza, wyjaśniła:

— W Londynie, gdy patrzyłam na księżyc, wydawało mi się, że jesteś tak niedostępny jak on i że nigdy... nigdy nie będę dla ciebie znaczyć więcej niż... człowiek, wobec którego masz... dług wdzięczności.

Markiz odwrócił się, by móc na nią spojrzeć. Oświetlał ją jedynie blask świecy stojącej przy łóżku, lecz on pomyślał, że nikt nie wygląda tak pięknie i subtelnie jak jego żona.

— Jak mam ci powiedzieć, ile dla mnie znaczysz? — zapytał. — Jak mam ci podziękować za to, że oddałaś mi moje młodzieńcze sny, ambicje i ideały?

— Pragnęłam, byś je zachował — odparła Hermia. — Nie mogłam znieść myśli, że zawsze już będziesz cyniczny i znudzony. Kochanie, przez moją miłość do ciebie chcę ci tyle ofiarować.

Markiz zrozumiał, że mówi o duchowych, a nie materialnych wartościach.

— Właśnie tego oczekuję od ciebie. Gdy nadejdzie odpowiednia pora, oddam wszystko naszym dzieciom — odparł. — Chcę, żeby umiały dostrzec prawdziwe wartości w życiu, by nie ulegały magii krzykliwego zbytku, który przelicza się tylko w gotówce.

Hermia westchnęła cicho.

— Jeśli rozsądnie będziemy wydawać pieniądze, możemy uszczęśliwić tyle osób. Papa powiedział mi zeszłej nocy, że zatrudnił w składzie drewna dwudziestu pięciu ludzi i spodziewa się znaleźć pracę dla wielu innych.

Mąż się uśmiechnął.

— Podejrzewam też, że zawarłeś tajemny pakt z nianią skoro papa i mama wyglądają tak dobrze. W spiżarni jest pełno smakołyków, których nigdy tam nie widziałam!

— Nie powinnaś być za bardzo ciekawa!

— Nie wierzyłam, że ktoś tak... ważny jak ty, może być tak... ludzki, wyrozumiały i taki... taki wspaniałomyślny — powiedziała Hermia łamiącym się głosem — i dlatego teraz twierdzę, że jesteś archaniołem! Sprawiasz, że z każdą chwilą kocham cię coraz bardziej. Markiz pocałował ją i rzekł:

— Nie można się tobie oprzeć. Rzucasz na mężczyzn czar, od którego nie mogą się uwolnić.

— A... chciałbyś?

— Znasz odpowiedź — odparł. — Jak, najdroższa, jak mogłem dawniej myśleć, że jestem szczęśliwy, skoro ciebie nie znalazłem?

— Nie wyglądałeś na człowieka szczęśliwego!

— Każdego podejrzewałem o hipokryzję. Wtedy, jak gwiazdka z nieba, pojawiłaś się ty i wszystko się zmieniło.

— Pragnę, byś zawsze tak czuł — wyszeptała Hermia. — Lecz... gdybym cię utraciła?

Powróciło do niej przerażenie, które nią zawładnęło, gdy znalazła go leżącego na podłodze w domku wiedźmy, i potem gdy ujrzała jego kuzyna, schodzącego z dachu. Wyciągnęła dłonie, by go przytulić i obronić przed niebezpieczeństwem i złem.

Powiedział, jakby czytając w jej myślach:

— Jestem bezpieczny i nikt nie może mnie skrzywdzić, gdy ochrania mnie twa miłość. Miłość, najdroższa, to czarowne zaklęcie, które zniewoliło nas od dzisiaj na całą wieczność.

— Kocham cię, mój wspaniały, wielkoduszny, cudowny mężu — odparła Hermia — i nie potrafię wypowiedzieć słowami, ile dla mnie znaczysz.

— Nie potrzebuję słów.

Jego usta zawładnęły jej ustami, jego serce biło tuż przy jej sercu i gdy poczuła dotyk jego rąk na swojej delikatnej skórze, wiedziała, że narastało w nim pożądanie, rozpalające ogień i w jej ciele.

Zabrał ją do nieba, na księżyc, gdzie otaczały ich gwiazdy i gdzie istniała tylko miłość — miłość, która otoczyła ich na wieczność.